

Dziwne porwanie i także odnalezienie
Jerzego S. Maca, dziennikarza tygodnika
„Wprost”

str. 12-13

Auto-destrukcja PZU

str. 5

Michał Anioł estrady czyli Michael Jackson

str. 10-11

Pracuję w MTV!

str. 8-9

Nasz kawałek Teksasu!

str. 18

13 września 1996 r.

Nr 215 (15767) Rok LII Nakład 157 tys. egz. indeks 350028

DZIENNIK BAŁTYCKI
magazyn

Rejsy

ID 71535



Fot. Robert Kwiatek

Opowieść o Leszku
Hallmannie, ciężarowcu
z Sopotu, który na Igrzyskach
Paraolimpijskich w Atlancie
wywalczył srebrny medal.

Czytaj str. 6 - 7

CZUWAĆ Z PAPIEŻEM

Fot. Arturo Mari

PEŁNE UBEZPIECZENIE W PZU ZA 2% WARTOŚCI + ZIELONA KARTA GRATIS.

10010878

Escort już od 34.700.- zł.

*1 DM=1.8 PLN.

Otwarte
7 dni
w tygodniu

BIG Autohandel

Autoryzowany Dealer

Salon Sprzedaży Samochodów, Gdańsk, ul. Rajska 12, tel. (058) 31 60 21
Gdańsk, ul. Czarny Dwór 12, tel.: (058) 53 36 43, fax (058) 530 521
Hurtownia i sprzedaż detaliczna części zamiennych – dostawy bezpośrednio z fabryki
Samochody Używane, ul. Grunwaldzka 258 (róg Abrahama) tel. (058) 52 06 60



WOODY

Teraz w supermarkecie WOODY....

OFERTA SPECJALNA

CEMENT 25 kg

Cena specjalna: 4,25 zł

Cena normalna: 4,95 zł

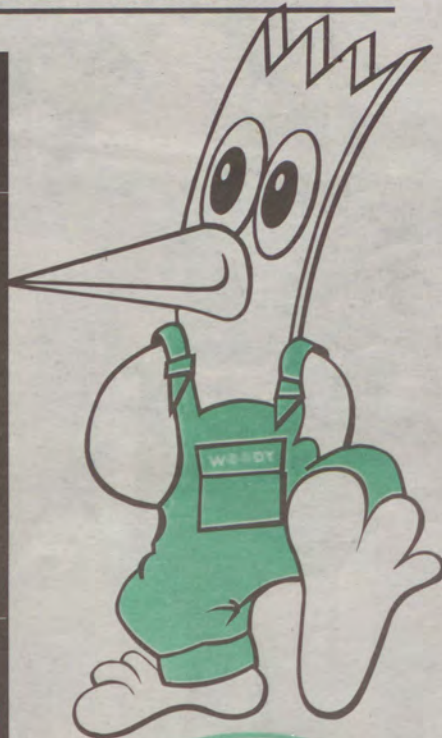
(CENY ZAWIERAJĄ PODATEK VAT)

"ATLAS" ZAPRAWA KLEJOWA 5 kg

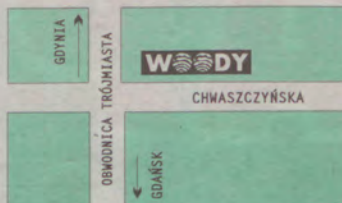
Cena specjalna: 4,95 zł

Cena normalna: 6,25 zł

(CENY ZAWIERAJĄ PODATEK VAT)



Wszystko co kupujesz w supermarkecie WOODY jest najwyższej jakości. Przy zachowaniu wysokiej jakości naszych produktów proponujemy niskie ceny.



Trafisz do nas sam:

WOODY Supermarket "Zrób to sam"

UL. CHWASZCZYŃSKA 64, 81-571 GDYNIA

Godziny otwarcia sklepów WOODY: od poniedziałku do piątku: 8-19. W soboty: 9-16.

Listy

O szczepionce na raka dra Klehra

W „Rejsach” z dnia 30 sierpnia napisaliście o skutecznej rzekomo szczepionce na wszelkie postacie raka, którą wytwarza z krwi chorego dr Klehr z Monachium. Szkoda, że nie zabrali dotąd głosu na ten temat gdańscy onkolodzy. Sprawa jest bowiem poważna, jak w każdym przypadku, gdy chodzi o ratowanie życia ludzi w stanach beznadziejnych. Podzielę się zatem wrażeniami jako niedoszły klient dr. Klehra, o którym usłyszałem w ub. r. od znajomych w Niemczech.

Chodziło o pomoc dla bardzo bliskiej mi osoby. Szukałem ratunku wszędzie. Gdy dowiedziałem się o szczepionkach dra Klehra, postanowiłem zdobyć jego adres. Dowiedziałem się, że prowadzi Instytut Immunologii i Biologii Komórkowej w Monachium. Zadzwoiłem tam. Telefon odebrał człowiek, który przedstawił się jako dr Nassif. Stanem chorego, który mu opisałem (zdaniem naszych lekarzy - beznadziejnym), zbytnio się nie przejął. Radził, bym przywiózł chorego do Monachium celem pobrania krwi w instytucie, gdzie po dwóch tygodniach będę mógł odebrać szczepionkę, którą należy potem stosować przez trzy miesiące. Miałem za nią zapłacić 2900 marek.

Poprosiłem o zdanie na ten temat opiekującą się wówczas chorym śp. prof. Władysławę Zielińską. Powiedziała mi, że bym nie robił sobie złudzeń, bo takiej szczepionki nikt jeszcze nie wynalazł, o doktorze Klehrze nie czytała w żadnych doniesieniach naukowych, a wiem, że chłonęła wszelkie nowości i współpracowała z wieloma instytutami w Europie. Na koniec powiedziała, że zapewne zrobię jak zechcę dla własnego spokoju sumienia, jedynie ostrzega, że chory może tak ciężkiej podróży nie wytrzymać.

W tym czasie przebywała w Monachium znajoma dr medycyny z Gdańska. Poprosiłem, by na miejscu dowiedziała się coś więcej o metodzie dra Klehra. Powiadomiła mnie, że niestety, od dra Klehra nie może niczego konkretnego się dowiedzieć. Nie wskazał jej żadnych publikacji na temat swej szczepionki ani na temat wyników jej zastosowań w szerszej skali. Uznała to za bardzo wątpliwe.

Gdy targaly mną wątpliwości, w „Życiu Warszawy” ukazał się artykuł korespondenta gazety z Bonn Michała Jaranowskiego pt. „Doktor szarlatan”. Tytułowym epitetem autor nazwał dra Klehra, który tytuł profesora kupił podobno w Ameryce Południowej. Tak przynajmniej twierdził niemiecki autorytet w dziedzinie onkologii prof. Hans Tesch. Zdaniem niemieckich onkologów, którzy wypowiedzieli się w programie telewizyjnym na temat dra Klehra, jest on szarlatanem, który żeruje na rozpacz i naiwności chorych z kilku krajów Europy, w tym również z Polski. Nie opublikował niczego na temat swej rzekomo cudownej szczepionki, zawsze odmawia uczestnictwa w dyskusjach publicznych i nie pozwala poddać swych metod badaniom naukowym. Instytut w Monachium ogłasza się jedynie w pismach przeznaczonych dla ludzi o miernej inteligencji i wiedzy. Podobnie jak naukowcy oceniają Klehra działacze z organizacji Niemiecka Pomoc Chorym na Raka.

Ja już nie pojechałem, głównie jednak dlatego, że najbliższa mi osoba nie była już w stanie odbyć tej podróży. Wątpliwości jednak pozostały. Myślę, że artykuł pani Joanny Lamparskiej w „Rejsach” zbyt słabo naświetlił drugą stronę medalu i może wzbudzić nadzieje, których „cudowny lek” nie spełni.

A.O. Gdańsk

(imię i nazwisko
do wiadomości redakcji)

o tym
się mówi

Sprawa Buchacza - afera polityczna czy finansowa?



Bogdan Dombrowski (PSL), wójt gminy Suchy Dąb

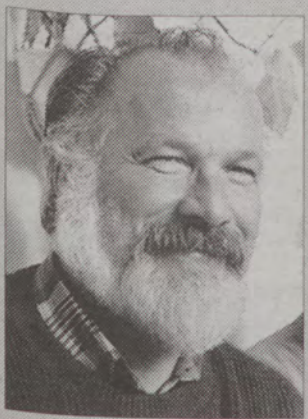
Fot. Grażyna Antoniewicz

- Sądzę, że jest to duża gra polityczna. Za dużo w niej niejasności. Premier ma prawo podejmować personalne decyzje, ale skoro publicznie przedstawił tak poważne zarzuty, to powinien je do końca wyjaśnić. Nie byłoby dobrze, gdyby wszystko się rozmyło.



Olga Krzyżanowska (UW), wicemarszałek Sejmu z Gdańska. Fot. Maciej Kostun

- Koalicja rządząca wyżej ceni interesy partyjne, niż interes państwa. Trudno mi rozstrzygnąć, czy pan Buchacz jest winien, czy nie. Zwracaliśmy często uwagę, że stworzenie możliwości przepływu między pieniędzmi państwowymi a prywatnymi, poprzez różne agencje, jest niebezpieczne i kryminogenne. Wygląda na to, że mieliśmy rację.



Karol Krementowski, sadownik z Wrzeszcza. Fot. Maciej Kostun

- Bez trudu można w koalicji znaleźć więcej niż dziesięć afer. Dlatego uważam, że obecna jest zabawa polityczną, w której główny koalicjant próbuje swojego partnera sprowadzić do parteru po to, żeby mu wyświadczać tak zwane łaski. Sądzę, że SLD chce mieć trochę wcześniej wybory, bo w miarę upływu czasu spadają ich akeje.



Marian Wilkowski, burmistrz z Kartuz. Fot. Tadeusz Gruchalla

- Nie wiemy o co w tym wszystkim chodzi. Uważam, że dysponowanie tak dużymi funduszami publicznymi, jak w przypadku Ministerstwa Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, jest dość niebezpieczne. Nie wiem, jak ocenić tak zwaną sprawę ministra Buchacza. Wypada mieć rezerwę wobec rozgrywających się na górze politycznych wydarzeń.

magazyn Rejsy

13 września 1996

Od redaktora



Harcerze na audiencji u papieża w Castel Gandolfo.

Czytaj str. 14-16

Nie pierwsze to i na pewno nie ostatnie, indywidualne świadectwo spotkania z Janem Pawłem II. Harcerskie, proste. „Na moment zostaliśmy z papieżem tylko my, sami - twarzą w twarz. Nagle zniknęli harcerze, nie miałem pojęcia, że obok mnie pracują fotoreporterzy. To było niesamowite” - pisze pielgrzym Michał Rzepiak. Indywidualne, a podobne do tysięcy innych świadectw - zapisów doświadczenia niesamowitości: oto na moment znika świat, ty jesteś światem, któremu bacznie, spokojnie, dobrotliwie i przenikliwie przypatrują się oczy Namiestnika Piotrowego. Gdybym się nie bał potrącenia o herezję, powiedziałbym, że tak mógłby patrzeć na człowieka Bóg. Takiego doświadczenia w życiu doczesnym się nie zapomina. Powracając do świata, który jednak jest.

Są bowiem harcerze i fotoreporterzy. Koła gospodyń wiejskich i orkiestry dęte. Ministrowie do odwołania i wartości nie do odwołania. Świat do zdobycia i świat do ucieczki. Na przykład w duchowość typu New Age (skąpaną w erze Wodnika). Świat bez pasów bezpieczeństwa i świat ubezpieczeń. Ekran MTV i Mac na ekranie TV. Medytacyjny jazz. Moździerza i jazgot mediów wokół króla pop, Michała Anioła estrady, Michaela Jacksona. Sny na jawie o fortunie („mój ci jest ten kawałek Teksasu”) i senne marzenia pod nadobną piersią.

To wszystko, a oprócz tego liryka i życie, jest dziś i u nas. Nie wierzyć? To wejrzyjcie głębiej.

Tadeusz Skutnik

MINISTER KULTURY..., PYTA
KTO TO JEST TEN GIEDROYC



Rejsy

Redagują: Aleksandra Paprocka, Tadeusz Skutnik (kierownik).
Opracowanie graficzne: Krzysztof Ignatowicz, Studio BUM.
Stale współpracują: Piotr Dominiak, Grzegorz Kurkiewicz,
Jerzy Samp, Janina Wieczerska.
Tel. 31-79-26; 31-50-41 w. 350, 351

Nasze rozmowy

Muzyka
jest czymś
wspaniałym
kiedy
wydarza się sama
i pociąga wykonawcę
za sobą.

Z Leszkiem Możdżerem
- pianistą jazzowym
rozmawia
Artur Kawiński



Leszek Możdżer ma 24 lata, w prestiżowej ankiecie „Jazz Forum” - Jazz Top - trzykrotnie uznany za najlepszego w kraju pianistę jazzowego, w 1995 roku zwycięzca także w kategorii Muzyk Roku. Lider własnego sekstetu, pianista Miłości - grupy uznanej za najlepszy jazzowy zespół akustyczny. Gra między innymi z grupami Zbigniewa Namysłowskiego i Eryka Kulma. Koncertował z Lesterem Bowie (z Miłością) i z Davidem Friesenem (w duecie). Tegoroczny absolwent gdańskiej PWSM w klasie fortepianu.

Muzyka jak medytacja

- Jesteś uważany za jednego z najlepszych polskich jazzmenów i za lidera muzyków jazzowych młodej generacji...

- Nie przywiązuję do tego zbyt wielkiej wagi. Taka sytuacja ma jednak dobre strony, bo dzięki uznaniu wyleczyłem się z kompleksów.

- Kiedy zaraziłeś się jazzem?

- W liceum była moda na słuchanie jazzu, a ja raczej przypadkowo zacząłem tę muzykę jeszcze grać. Wychodziło mi to coraz lepiej, więc zostałem przy fortepianie.

- Grasz między innymi w Miłości - najlepszej polskiej grupie akustycznego jazzu. Jak tam trafiłeś? Ty i lider Miłości,

Tymon, jesteście - na pierwszy rzut oka - całkiem odmiennymi osobowościami.

- Brakowało im instrumentu harmonicznego. Potrzebowali pianisty, a że akurat znalazłem się pod ręką i byłem w miarę kumaty... Co prawda, bałem się trochę Tymona, ale ponieważ potrafiłem przyjąć to, co on proponował, zaryzykowałem i w Miłości gram do dzisiaj. My z Tymańskim przez cały czas uczymy się nawzajem od siebie i nawzajem się wychowujemy. Świetnie, żeśmy się spotkali.

- Jak powstają twoje kompozycje? Na dzisiejszym koncercie wykonaliście jazzową wersję dwunastowiecznej pieśni liturgicznej. Skąd taki pomysł?

- Przygotowywałem program muzyki dawnej i ten temat wpadł mi w ucho. Jest zresztą bardzo chwytny.

- W jaki sposób aranżujesz? Jaki jest - na przykład - twój sposób na tworzenie jazzowych wersji, nagranych przez ciebie utworów Chopina?

- Zależy to od klasy wykonawcy. Artysta nie zaaranżuje byle czego, natomiast chałturnik zrobi chlām.

- Jak powstaje twoja muzyka? Czy uważasz, że muzyk może dotknąć swoją sztuką absolutu, a potem wprowadzić tam słuchacza?

- Tak, jest coś takiego. To bardzo szczególny stan. Może nie ekstaza - to za dużo powie-

dziane. Chodzi o tak wielkie skupienie, że w pewnym momencie podczas grania jesteśmy już niesieni przez coś niedefiniowalnego... Ja odbieram to, jak podłączenie do jakiegoś pola energii, czegoś, co nami kieruje. W dzisiejszym koncercie też takie chwile się zdarzały.

- Czuło się też ten rodzaj śpięcia w koncertach Miłości z amerykańskim trębaczem Lesterem Bowiem.

- Tak, to są najwspanialsze momenty grania - wtedy się nie myśli, a jeżeli już, to przestaje to być zwykłe myślenie. Sytuacja jakby stoi w miejscu.

- Czas pęknięty?

- Ja nie wiem, jak to nazwać. Muzyka jest czymś

wspaniałym, kiedy wydarza się sama i pociąga wykonawcę za sobą. Czujemy się podłączeni do kręgu, coś nami kieruje - nie wiem, co to jest. Kanadyjski pianista Glenn Gould, wyróżniał taką właśnie sytuację - gdy muzyka przekracza pewne bariery, takie działanie się muzyki, które już nie podlega ocenie. To się rzeczywiście zdarza. Muzyka staje się wówczas absolutem, mimo to, że może być kulawa technicznie.

- Jak taki poziom osiągnąć?

- Na pewno trzeba być bardzo otwartym na to, co się robi, a jednocześnie cholernie skupionym. Właśnie po to, by muzyka poniosła w sobie wia-

domym kierunku. To zdarza się rzadko - wystarczy niewielka próba nakierowania tej energii w niewłaściwy sposób, by wszystko się rozproszyło.

- Czy wobec tego twoja muzyka nie powinna być postrzegana w aspekcie religijnym?

- Poniekąd całe nasze życie ma wymiar religijny. To, że istniejemy, oddychamy - wszystko to jest cud. To wielka tajemnica, a muzyka też do niej należy. Każdy Boga rozumie na swój sposób, niezależnie od tego, czy jest chrześcijaninem, muzułmaninem, czy buddystą. Całe życie, także granie, to praktyka, medytacja. Muzyka, w momencie gdy przekracza granice rzeczywistości, staje się medytacją.

- Podobnie zdawał się traktować swoje granie amerykański pianista Keith Jarrett, z którym wcześniej kojarzyłeś się raczej jednoznacznie - poczynając od techniki wariacyjnego przetwarzania na różne sposoby jednej rytmicznej figury, po „wokalizy” nad klawiaturą. Jak określaś te relacje teraz?

- Większość jazzowych pianistów przerażała rozdział zatytułowany Keith Jarrett... Ja obecnie mam to za sobą, sam bardzo się rozwijałem i wiem już, o co w moim graniu chodzi. Z Jarretta wyrosłem. Słucham go nadal z dużą przyjemnością, ale nie jest już dla mnie taką zagadką i tajemnicą. Swego czasu był, ale

ja słuchałem wielu różnych pianistów. To, że kojarzyłem się akurat z Jarrettem nie było zamierzone, choć przyznaję, że rzeczywiście, wiele dla mnie znaczył.

- Wielu artystów jazzowych, nie tylko polskich, twierdzi, że prawdziwy sprawdzian ich umiejętności wiąże się z wyjazdem do Nowego Jorku.

- Chciałbym zobaczyć, jak to jest. Choć prawdę mówiąc, nie bardzo mi się uśmiecha wyjazd za morze z plecaczkiem i podbijanie Nowego Jorku.

- Ale twój start byłby inny, niż na przykład Krzysztofa Komedy, który wyjeżdżał do USA jako nikomu nie znany muzyk ze Wschodu. Oglądano go tam, jak białego niedźwiedzia. Ty masz inną sytuację - jechałbyś jako muzyk znany, startujący z odpowiednio wysokiego poziomu.

- Może i tak, wydaje mi się, że gram dość dobrze. Sam Lester Bowie, kiedy się zgnaliśmy, stwierdził, że powinienem przyjechać do Stanów. Zobaczymy, wydaje mi się, że jeżeli mam pojechać do Nowego Jorku, to pojedę. Chciałbym się zetknąć z wielkimi muzykami. Ważne jest, by grać wielką muzykę, to wiem.

- Co będziesz robił teraz? Obroniłeś się już?

- Tak, jestem już po studiach. Bardzo dobrze gra się nam z Adamem Pierończykiem. Mam nadzieję, że może uda się nam ten duet jakoś zachować. Byłoby dobrze pojechać po zagranicznych festiwalach. Poza tym pracuję przez cały czas - chciałbym grać coraz lepiej.

- Dziękuję za rozmowę

*Dlaczego
posiadacze
domków
musieli
dotować
właścicieli aut*

Auto-destrukcja

Późnym wrześniowym wieczorem w Sejmie trwa publiczne pranie brudów. „Minister finansów nie powinien dłużej bezczynnie patrzeć na destrukcję całego sektora ubezpieczeń dokonywaną przez nieodpowiedzialną działalność zarządu jednej spółki Skarbu Państwa” - nowy szef rady nadzorczej Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń, Jan Bogutyn - nie przebiera w słowach.

Zarzuty padają jeden za drugim: PZU wyniszczał konkurencję przez stosowanie dumpingowych cen, nie kontrolował własnych kosztów, a zarząd palcem nie kiwnął by szukać ratunku w prywatyzacji...

Jan Bogutyn, wiceminister finansów, odpowiada na interpelację gdańskiego posła Bogusława Kaczmarka (Unia Pracy); posłowie nie wierzą własnym uszom. Bogutyn mówi głośno o tym, o czym w polskich ubezpieczeniach mówi się od kilku lat. Odpowiada, dlaczego rynek chwieje się, jednocześnie dlaczego ubezpieczenia - zwłaszcza komunikacyjne - choć drogie stały się dopustem Bożym.

Krajobraz po bitwie

W miesiąc po kadrowym trzęsieniu ziemi w zarządzie firmy, PZU liże rany. Pozbawiony prezesury Roman Fulneczek walczy w sądzie o dobre imię. Dymisje wiceprezesów nie zostały przyjęte.

Broniący odwołującej Fulneczka decyzji szef rady nadzorczej PZU SA, Bogutyn obnaża w Sejmie wszystkie słabości PZU. Okazuje się, że król jest nagi. Co gorsza, swą fatalną polityką wycinał w ostatnich latach w pień inne towarzystwa ubezpieczeniowe. Stosował przy tym najbardziej tępione w konkurencji praktyki dumpingowe: sprzedaż polis po cenach niższych niż koszty, jakie sprzedaż ta pociąga za sobą.

Mechanizm był prosty: bardzo wysokie - jak na przeciętne dochody - stawki ubezpieczeniowe nauczyły kierowców poszukiwać co roku jak najtańszych, a jednocześnie wiarygodnych ubezpieczycieli. Najważniejsza była jednak cena polis. PZU wykorzystywał sytuację.

Bogutyn: „Wykorzystując swą monopolistyczną pozycję PZU - towarzystwo kontroluje 60 proc. rynku ubezpieczeń majątkowych - dyktował warunki. Nierzetelna konkurencja PZU wpłynęła na sytuację finansową innych zakładów ubezpieczeń. Przykład upadłego niedawno Gryfa - towarzystwo pozostawiło na lodzie kilkadziesiąt tysięcy swoich klientów - jest w dużej części związany z dumpingiem prowadzonym przez PZU”.

W tej sytuacji małe towarzystwa ubezpieczeniowe muszą swoją cenę kalkulować na poziomie dyktowanym przez największego gracza na tym

ryнку, a więc poniżej kosztów. Oczywiście duży mógł sobie powetować straty z innych dochodów - co też jest niezgodne z zasadami sztuki ubezpieczeniowej, bo niby dlaczego posiadacze domków mają dotować właścicieli aut. Mniejsi, już na kolanach, stali skargi do ministra finansów, że na polskim rynku trwa bezpardonowa wojna i stosowane są nieuczciwe metody konkurencji - bezskutecznie.

Stosowany przez lata przez PZU dumping cenowy wycinał konkurencję, ale podcinał też gałąź, na której siedział. „Ten dumping przyniósł idące w biliony starych złotych straty” - twierdzi Bogutyn.

Klient zapłaci

PZU ma jeszcze inne grzechy na sumieniu, na przykład „zatrważający wzrost” w pierwszym półroczu kosztów działalności administracyjnej i reklamy oraz znacznie przekraczający ustalenia Komisji Trójstronnej przyrost płac, i tak wyższych niż w firmach prywatnych.

Są jeszcze miliony utracone przez PZU w wyniku błędnie prowadzonej polityki reasekuracyjnej. „W ostatnich latach z nawiązką wyrównałyby one deficyt środków własnych firmy i pozwoliły na uzyskanie wymaganego marginesu wypłacalności” - twierdzi Bogutyn. Eksperti ubezpieczeniowi OECD chwytają się za głowę, widząc jak olbrzymia część zebranych za polisy pieniędzy jest reasekurowana za granicą, bo dopiero niedawno powołaliśmy Polskie Towarzystwo Reasekuracyjne. Ponieważ składka wypływa za granicę, rosną koszty ubezpieczenia. Dlatego ponosimy coraz wyższe jego koszty.

Brakuje 100 milionów (\$)

Do połowy ub. roku PZU miał przygotować odpowiedni program naprawy sytuacji (chodziło o pokrycie kapitału gwarancyjnego, by klienci mogli spać spokojnie). Plan nie został wykonany. PZU brakuje środków na pokrycie funduszu ubezpieczeniowego. - Minister finansów przez cały czas miał nadzieję, że zarząd znajdzie sposób na naprawę sytuacji.

Ale w tym roku nastąpiło gwałtowne pogorszenie wyników finansowych i na koniec marca pokrycie tzw. marginesu wypłacalności było jeszcze mniejsze.

Najpoważniejszym bodaj problemem PZU jest teraz niedokapitalizowanie, grożące - jak mówi Bogutyn - destabilizacją całego rynku ubezpieczeniowego i naruszające w zasadniczy sposób ustawę o działalności ubezpieczeniowej. - PZU poniósł ciężkie straty w 1989 roku i do dziś firma nie spełnia podstawowych wymogów ostrożnościowych wprowadzonych przez ustawę o działalności ubezpieczeniowej. Nie osiąga wymaganego marginesu wypłacalności, a nawet nie osiąga wymaganego ustawą kapitału gwarancyjnego.

Ratunkiem byłby bardzo poważny zastrzyk kapitału. Prezes Fulneczek miał tylko jedną receptę: mówił, że Ministerstwo Finansów nie interesuje się spółką i Sejm powinien przyjąć ustawę o dokapitalizowaniu PZU 100 milionami dolarów.

Zanim PZU zmieni właściciela, zakończy się gruntowna kontrola. Pod koniec lipca na ręce przewodniczącego rady nadzorczej PZU SA trafiła informacja Danuty Walcerz, prezes Państwowego Urzędu Nadzoru Ubezpieczeń. Dotyczyła tzw. reasekuracji biernej. „Rozpoczęta 27 maja kompleksowa kontrola PZU potrwa co najmniej do końca października. Powód: brak harmonijnej współpracy ze strony służb zarządu spółki z zespołem kontrolującym. Służby te opóźniają dostarczanie kontrolującym materiałów. (...) Trudno uznać, że zarząd PZU ma właściwą politykę i strategię działania i dobrze przygotowuje się zarówno do prywatyzacji, jak i w warunkach otwartego rynku”.

Olimpijski spokój

Na początku września członkowie byłych władz PZU SA, w tym były wiceminister finansów Wojciech Misiąg, w liście otwartym do Grzegorza Kołodki oświadczyli, że informacje Bogutyna o zarządza-

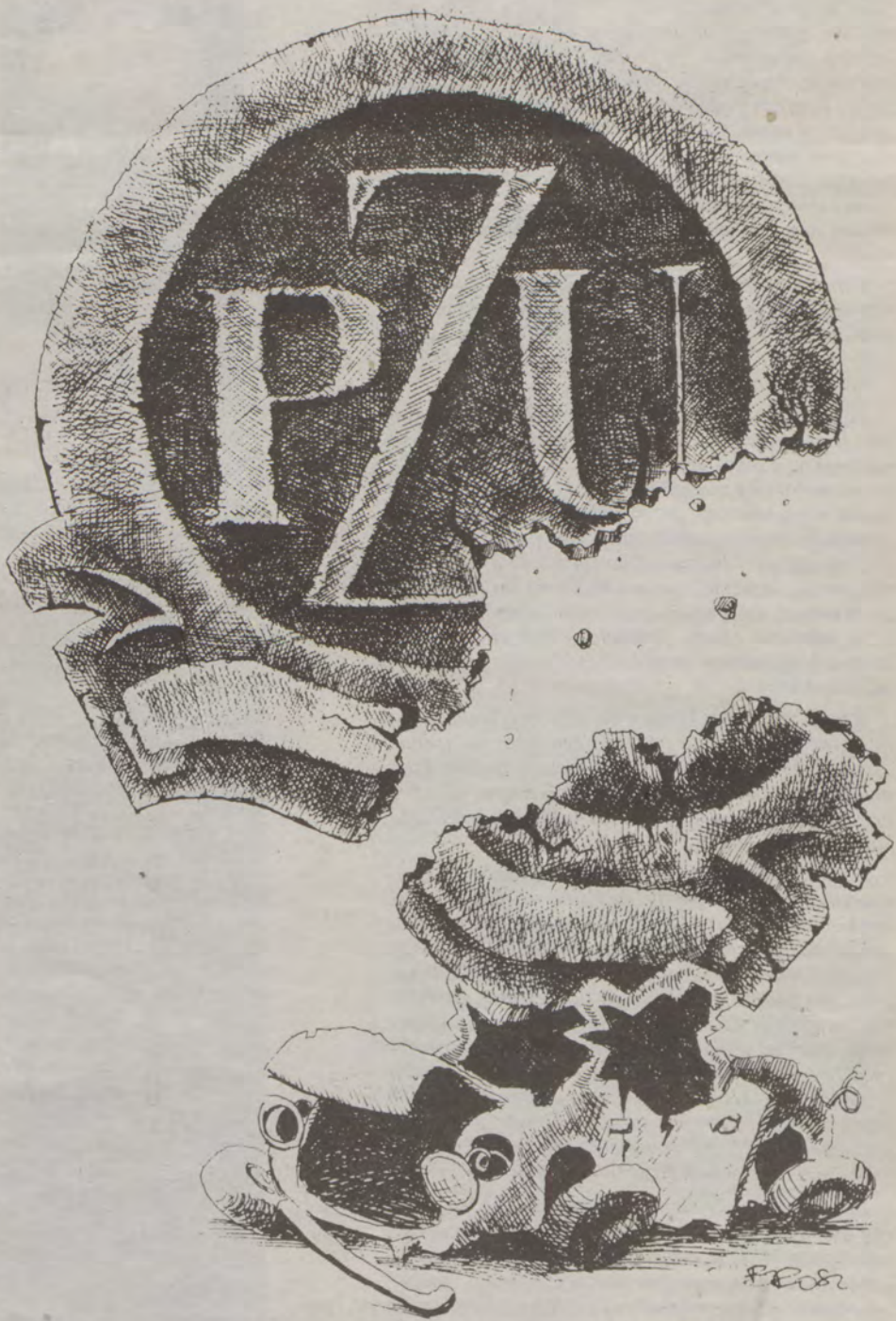
niu spółką i jej złej kondycji finansowej zawierają „stwierdzenia nie znajdujące pokrycia w faktach”. Nieprawdą jest, że PZU nie osiąga wymaganego ustawowo kapitału gwarancyjnego i że prezes Fulneczek oczekiwał decyzji Sejmu o dokapitalizowaniu firmy z budżetu państwa. Żadnych zagrożeń dla kondycji finansowej nie niesie również dość wysoki wzrost kosztów działalności

ubebezpieczeniowej. Nie jest także prawdą - twierdzą były władze PZU - że spółka stosuje dumpingowe taryfy ubezpieczeń komunikacyjnych, przynoszące firmie bilionowe straty. „Zastanawiający jest fakt, że przedstawiciel ministerstwa uznaje za naganne stosowanie umiarkowanych cen za usługę, która z mocy prawa jest obowiązkowym obciążeniem dla znacznej części obywateli”.

Odrzucono też zarzuty o prowadzenie niewłaściwej polityki reasekuracyjnej. PZU SA nadal jest firmą pozostającą w dobrej kondycji finansowej, a możliwości zaspokojenia roszczeń wynikających z umów ubezpieczeniowych nie są zagrożone...

Wszystko jest więc OK. Tylko ceny polis rosną.

Jan Kreft



Bardzo być może, że opozycja (która też ma grzechy zaniechania na sumieniu) wykorzystuje trzyletnie nieróbstwo MEN w celach politycznych. Ma do tego dobre prawo, od tego jest opozycja. Ale...

Zabarwienie polityczne

Pomysły humanisty

Jeżeli Iksiak podpalił z głupoty, albo na złość stołkę sąsiadowi, to jest to sprawa kryminalna i zajmuje się nią prokurator i sąd. Jeżeli w jakimś mieście okolice dworca PKS stają się niebezpieczne z powodu chuliganiącej młodzieży, to jest to sprawa społeczna, którą zbadać i rozwiązywać muszą instytucje obywatelskie: samorząd lokalny, szkoła, parafia, komitety rodzicielskie. Jeśli jednak Iksiak jest posłem, a młodzież chuligani dlatego, że dla wygody szwagra innego posła, Iksińskiego, zmieniono porę odjazdu autobusu i dojeżdżająca do szkół młodzież musi czekać na dworcu do godz. 19 na autobus powrotny - to obie sprawy stają się dodatkowo politycznymi.

I słusznie, ponieważ Iksiak i Iksiński są jako posłowie osobami publicznymi i ich występkę czy prywatę podlegają też ocenie publicznej, a ta jest tym surowsza, im więcej zaufania społecznego przypadło im z racji eksponowanego stanowiska.

Tak to jest w teorii. W praktyce nader często bywa tak, że jedna partia, żeby dosłonić partii konkurencyjnej, węszy, szuka i grzebie w sprawach i czynach jej prominentów, by znaleźć tzw. haka i w korzystnym dla siebie momencie (np. przed wyborami) tymże hakiem skompromitować i prominenta, i jego partię. Przywołici i rozgarnięci ludzie nabierają wtedy dyzgustu do obu partii: do jednej, że hołubi faceta zasługującego na kryminał, do drugiej, że wiedząc o machlojach lidera, ministra, czy tp. siedziała cicho aż do chwili, kiedy ich ujawnienie mogło najefektywniej zaszkodzić przeciwnikowi.

Z tego, że sprawy kryminalne bądź społeczne mogą nabierać zabarwienia politycznego, robi się jednak ostatnio użytek osobliwy: coś w rodzaju zastony dyne. O wielkich aferach już nie wspominam, ale chcę przytoczyć konkretny przypadek takiego odwracania kota ogonem.

Na początku września, czyli roku szkolnego, przedmiotem dyskusji „Frondy” był stan oświaty. Padały ciężkie oskarżenia nie tylko o jej niedofinansowanie (to już banal), ale o grzechy zaniechania: brak wizji nowoczesnej szkoły, działania pozorne zamiast reform, puszczanie spraw na żywioł, tj. dzięk, nielegalną, korupcyjną komercjalizację nauczania (pseudokorepetycje, pseudodyplomy i in.). Wśród świszczących strzał opozycji p. Anna Zalewska z SLD popadła w rozżalenie: „Oświata staje się polem rozgrywki politycznej. Nie rozliczamy się. Zastanówmy się, jak reformować szkołę. Są nadzieje na poprawę. Pan premier i pan prezydent bardzo interesują się oświatą”.

Bardzo być może, że opozycja (która też ma grzechy zaniechania na sumieniu) wykorzystuje trzyletnie nieróbstwo MEN w celach politycznych. Ma do tego dobre prawo, od tego jest opozycja. Ale na pytanie skierowane do telewizorów: czy przyczyną złego stanu oświaty jest brak pieniędzy, czy brak woli reform, tylko 350 osób wskazało finanse, 1734 uznało, że rządząca koalicja nie ma ochoty na reformę szkolnictwa. Ludzie nie są tacy głupi i widzą, co się dzieje i jak jest.

Janina Wieczerska



Leszek Hallmann ma 32 lata. Urodził się w Sopocie, gdzie mieszka. Od 13 do 23 roku życia uprawiał zapasy w Spółni Gdańsk. Kiedy miał 25 lat, w nieszczęśliwym wypadku stracił stopę. Podnoszenie ciężarów trenuje cztery lata. Zaledwie po trzech miesiącach ćwiczeń wystartował w pierwszych zawodach, gdzie zajął pierwsze miejsce. Jest dwukrotnym mistrzem Polski, brązowym medalistą mistrzostw Europy, które w 1995 r. odbyły się we Francji. Na tegorocznych X Igrzyskach Paraolimpijskich zdobył dla Polski srebrny medal. Wszystkie osiągnięcia zanotował w kategorii wagowej ponad 100 kg. Aktualnie jest zawodnikiem Dajana Gdynia.

Leszek



„Triumf ludzkiego ducha nad ciałem”, „Przewycięzili przypadłości swojego ciała”, „Polacy na medal” - takie tytuły można było przeczytać na pierwszych stronach „Dziennika Sportowego” wydanego przez polonię w Chicago z okazji X Igrzysk Paraolimpijskich. Nasi reprezentanci w Atlancie spisali się rzeczywiście bardzo dobrze. W gronie zawodników, którzy stanęli na podium, znalazł się ciężarowiec z Sopotu, Leszek Hallmann, któremu przed laty amputowano nogę 20 cm poniżej kolana. W konkurencji wyciskania sztangi leżąc wywalczył srebrny medal.

Najpierw były zapasy

Hallmann od 13 roku życia uprawiał zapasy. Z małymi przerwami trwało to blisko dziesięć lat.

- W młodości dostawałem „baty” od kolegów. Brat miał przyjaciela zapaśnika, który zaproponował mi, abym przyszedł na trening. Stawiłem się w wyznaczonym miejscu, spróbowałem swoich sił i pozostałem na dłużej. Zabrakło mi jednak wytrwałości.

Jak sam twierdzi, potem oddał się uciechom życia. Często można go było spotkać w trójmiejskich lokalach, nie tylko jako klienta. Pracował jako bramkarz. W tym okresie zdarzył się ten nieszczęśliwy wypadek.

Kalektwo

- Wypiłem za dużo i jak w takich przypadkach bywa, zrobiłem się agresywny. Pod swoim domem spotkałem znajomych kolegów śmieciarzy. Mimo że znaliśmy się doskonale, rozpocząłem awanturę. Nawet nie pamiętam, o co poszło. Kiedy próbowałem wyciągnąć jednego z samochodu, ci przejechali mi kołami po stopie. Została doszczętnie zmiażdżona.

Do Szpitala Miejskiego w Gdyni ojciec przetransportował go w stanie śmierci klinicznej. Sama operacja trwała pięć godzin. Amputowano mu nogę 20 cm poniżej kolana. To był szok. Nie chciał dalej żyć. Z młodego i wysportowanego faceta, stał się kaleką. Myślał

o popełnieniu samobójstwa. W trudnych chwilach oparcie znalazł w rodzinie - siostrach, bracie i rodzicach. Tak jak to często w życiu bywa, na kilku osobach się zawiodł.

- Po wypadku część znajomych przychodziła mnie oglądać. Czułem się, jak mała w ogrodzie zoologicznym. Dlatego żyło mi się bardzo ciężko. Zaczęłem stronić od ludzi, ale kiedy rozpocząłem treningi na siłowni, z czasem przestałem myśleć o kalectwie i udało mi się powrócić do normalnego funkcjonowania wśród innych.

Sport ratunkiem

Treningi rozpoczął w klubie Lechia Gdańsk. Szło mu opornie, ale wszyscy go zachęcali do pracy, dzięki czemu wy-

Hallmann

trwał. Nie chciał im sprawić zawodu. Wiedział bowiem, że wszyscy na niego liczą. Po trzech miesiącach były pierwsze zawody, w których podniósł 195 kg.

- Już przed startem liczyło się dla mnie tylko zwycięstwo. Podjąłem taką decyzję i zrobiłem wszystko, aby zrealizować cel. Udało się. Potem przyszedł czas na dwa tytuły mistrza kraju, drugie miejsce w europejskim championacie, rozegranym we francuskim Strasbourgu.

Już wtedy myślami był na olimpiadzie

Ta wspaniała olimpiada

Nigdy nie sądził, że paraolimpiada będzie takim przeżyciem. Tłumy ludzi na trybunach. Wielkie święto, na które przyjechało wiele osobistości. W specjalnym koncercie zaprezentowali się Liza Minelli i Aretha Franklin.

- Nie należałem do faworytów. Już przed turniejem czołówka zawodników rozdzieliła pomiędzy sobą medale. Większość się przeliczyła. Zaskoczyli wszystkich przedstawiciele z krajów azjatyckich.

Nikom nieznani zawodnicy, którzy przyjechali tylko na paraolimpiadę. Nie było ich w rankingach, a mimo to poprawiali rekordy świata średnio o 10 kg. W wiosce olimpijskiej praktycznie cały czas siedzieli w swoich pokojach i nikomu nie pokazywali się na oczy.

Srebrny medal Hallmann zdobył rzutem na taśmę. Po dwóch nieudanych próbach przy ciężarze 225 kg, mając na koncie podniesione wcześniej 215 kg, spadł aż na piąte miejsce. Mimo że większość zawodników, podchodząc do ostatniego podejścia, obniżała ciężary, sopocianin nic nie zmienił. Jeszcze przed startem założył z trenerem, że tylko ta-

ki wynik może zagwarantować medal. Obaj mieli rację. Trzecia próba zakończyła się powodzeniem.

- Powiedziano mi, że mogę odłożyć sztangę, ale ja z niedowierzaniem kręciłem głową i dalej trzymałem ją w górze. Wreszcie jednak trafiło do mnie, że zdobyłem medal olimpijski. Radość była ogromna.

Organizatorzy spisali się na piątkę. Z zawodów zrobili show. Każdej próbie zawodników towarzyszyła muzyka. Ci, którzy czekali na swoją kolejność, mieli do dyspozycji 20 stanowisk do rozgrzewki. Funkcjonowały specjalne gabinety, gdzie można było skorzystać z usług masażysty. Słowem nie brakowało niczego.

Naszych paraolimpijczyków odwiedziła żona prezydenta RP, Jolanta Kwaśniewska, czy prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, Edward Moskal. Po powrocie do kraju, Hallmanna - jak i pozostałych naszych olimpijczyków i paraolimpijczyków - zaprosił do siebie prezydent Kwaśniewski. W nagrodę za dobry występ w Atlancie Hallmann otrzymał Srebrny Kryż Zasługi. Na tym się chyba nie skończy. Nasi złoci paraolimpijczyści mają dostać po 10 tys. złotych nagrody. Srebrni i brązowi odpowiednio mniej.

Przygarnięty przez Dajana

Przygarnął go klub Dajan Gdynia. Niektórzy śmieją się, że trenuje z koszykarkami, ale czy darowanemu koniowi zagłada się w zęby?

- Mam do dyspozycji siłownię, do kosza potrafię rzucić. Zatem nie jest źle. Najważniejsze, że ktoś mnie przygarnął. Mnie się udało, ale w Trójmieście są jeszcze inni sportowcy niepełnosprawni, mogący się

liczyć w Polsce, czy nawet na świecie. Niestety, nie mają środków na przygotowania.

Hallmann, wraz z paroma innymi osobami, postanowił założyć Stowarzyszenie Rehabilitacyjno-Sportowe. Jest członkiem jego zarządu.

Jestem normalnym człowiekiem

- Obcowania z ludźmi niepełnosprawnymi trzeba się długo uczyć. Wiem to po sobie. Często się wzruszają. Wystarczy, że coś wspomną lub zobaczą. Nie ma skutku bez przyczyny, a w takich przypadkach przyczyna jest jedna - inwalidztwo. Oczywiście, niepełnosprawni często potrafią żartować. Słyszałem, jak w Atlancie ktoś powiedział: „Żeby tu przyjechać, musiałem sobie obciąć nogę”. Inny z kolei śpiewał piosenkę „Ciężka jest dola kuśtyka”. W Polsce upłynie sporu czasu, zanim tacy ludzie się otworzą.

W Atlancie człowiek, mimo protezy, chodził po wiosce olimpijskiej w krótkich spodenkach. Sama proteza miała tylko metalową obudowę, bez żadnego upiększenia. Najważniejsze, aby była lekka i sprawnie funkcjonowała. Ale prawdziwym szokiem był dla mnie mężczyzna bez rąk, który jadł nogami. Otwierał sobie puszkę i smarował chleb.

Myślami w Sydney

- W najbliższym czasie moja noga przejdzie reamputację, po której mam nadzieję wznowić treningi. Chciałbym wystąpić za cztery lata na paraolimpiadzie w Sydney, gdzie zamierzam stanąć na najwyższym stopniu podium. Apetyty po każdym dobrym występie wzrastają.

Maciej Polny

Zdjęcia:

Robert Kwiatek, Maciej Kostun

- Żyło mi się
bardzo ciężko -
zaczęłem stronić
od ludzi, ale kiedy
rozpocząłem
treningi na
siłowni, z czasem
przestałem myśleć
o kalectwie
i udało mi się
powrócić do
normalnego
funkcjonowania
wśród innych.

Drogi Patriku, mój pociotku, tu w naprawdę nobliwym towarzystwie jakakolwiek aprobata dla posunięć władzy, choćby pośrednia - to nietakt, równy głośnemu beknięciu przy stole albo odgłosowi fizjologicznemu z odwrotnej strony...

Porady dla Szkotopolaka

Chwyty dozwolone

Proszę mnie z Edynburga o radę w nietypowej sprawie. Zaczę od tego, że zimą 1939 młody Jan Władysław O., herbu Poczub, przedostał się szlakiem przerzutowym z okupowanej Polski do Coetquidan w Bretanii, gdzie we francuskim ośrodku ćwiczebnym formowano na nowo Wojsko Polskie. Po klęsce Francji zdołał ewakuować się do Anglii, by w sierpniu 1944 z Dywizją Pancerną gen. Maczka zaliczyć bitwę pod Falaise. Nasz bohater - bo chyba zasłużył na tytuł - wybrał emigrację, ożenił się ze Szkotką z klanu Mac Gill, lekko zanglizował nazwisko, a teraz, już jako spierniczały patriarcha, patronuje wystawnemu wnukowi Patrika na studyjny pobyt w kraju przodków.

Młody Szkotopolak ponoć mówi po polsku, choć z celtyckim akcentem, ale nie ma pojęcia o naszych aktualnościach politycznych, społecznych, kulturalnych, naukowych, czy gospodarczych. Stąd dziadek, powiązany z mną powinowactwem cienkim jak siódma woda po kisielu, błaga o kompendium obowiązujących tu i teraz towarzyskich norm. Dodam, że za Peerelu Jaś Władzio należał do nieprzejednanych i nigdy nie zawitał nad Wisłę, więc jego wiedza zatrzymała się na 1939 roku. Teraz, gdy wybuchła wolność, uważa podróż za zbyt uciążliwą...

A więc, drogi Patriku, mój pociotku, tu w naprawdę nobliwym towarzystwie jakakolwiek aprobata dla posunięć władzy, choćby pośrednia - to nietakt, równy głośnemu beknięciu przy stole albo odgłosowi fizjologicznemu z odwrotnej strony. Jeszcze bardziej wystrzegaj się, my dear Patrick, pozytywnej oceny zachowań Prezydenta RP. Niech siedzi w Pałacu Namiestnikowskim (nie prezydenckim...) albo za naszą krwawicę podróżuje, a i tak Prezydentem Naszych Serc pozostanie na zawsze wiadomo kto! Unikaj też mdłej tezy, jakoby rządziła Polską socjaldemokracja z ludowcami, lecz wal kładowym tekstem o komuchach, o czerwonych pająkach. Zyskasz poklask i będą Cię zapraszać na polityczne salony.

Uważaj, gdy mówisz o czyjejsz bylej przynależności do bylej PZPR. To grząski temat! Otóż członkostwo, nawet z zaliczonym stażem jeszcze w KPP i PPR, uważa się za niebyłe i rozgrzeszone po oddaniu czerwonej legitymacji w stanie wojennym, najpóźniej zaś do czerwca 1989. Tacy eks-towarzysze mają moralne prawo obnażania na łamach prasy i w mediach ohydy swego dawnego ugrupowania. U tzw. mundurowych natomiast rozgrzeszenie z przynależności nastąpiło po skrusze, okazanej masowo w 1989, zaś odpuszczenia grzechu partyjności dokonał zacny ks. prałat.

Możliwe są komplikacje, luby Patrysiu, gdy zetkniesz się z PSL. Ci umowni chłopcy w rządzie, Sejmie i Senacie, są na przemian szczerymi Polakami i katolikami, nastawionymi niepodległościowo i patriotycznie - lub spadkobiercami kolaboranckiego ZSL. Raz jak niepodległości bronimy odwoływanego ministra - ludowca, innym razem wypominamy im nieprawę i nieprawicowe pochodzenie. Obserwuj więc trendy w mediach, rozgryżaj - choć to nietakt - enigmatyczne wypowiedzi lidera, a pytany wprost - zasłaniaj się słabą znajomością polszczyzny.

Jan Chrzan



Ludzie się uczą, jak wykorzystywać możliwości płacenia mniej. Choć może lepiej byłoby powiedzieć, że uczą się jak nie płacić więcej niż koniecznie trzeba. Jest to bardzo zdrowy pęd do wiedzy.

Raczej mądrzejsi niż biedniejsi

Rejsy po gospodarce

Opublikowane właśnie informacje Ministerstwa Finansów o ubiegłorocznych „zbiorach” podatku dochodowego od osób fizycznych skłaniają do kontynuowania (p. poprzednie „Rejsy”) wątku o zawiłościach bytu materialnego Polaków. Z danych resortu wynika kilka rzeczy niezmiernie ciekawych.

1. Coraz więcej z nas nie przekracza pierwszego progu podatkowego (21 proc.). W 1993 roku dochody pozwalające płacić najniższe podatki osiągało 91 proc. Polaków; w 1994 - 91,5; w 1995 - już 92,7 proc. Z drugiej strony maleje liczba płatników „drugiego progu”, odpowiednio od 7,5 proc., przez 6,8 proc. do 6 proc. (1995). Progu trzeci dotyczy garstki podatników (1,3 proc.).

2. W ubiegłym roku spadło średnie obciążenie podatkowe dochodu netto z 21,4 proc. do 20,27 proc.

3. Wzrosła znacznie liczba osób rozliczających się z urzędami skarbowymi indywidualnie, a nie poprzez swego pracodawcę. Jest to wynik dwóch zjawisk. Faktu, że coraz więcej osób korzysta z rozmaitych form ulg podatkowych oraz stąd, iż rośnie liczba Polaków osiągających dochody z więcej niż jednego źródła.

Obserwacja pierwsza może prowadzić do dwojakiego typu konkluzji. Po pierwsze takiej, iż społeczeństwo ubożeje. Byłby to wniosek głęboko pesymistyczny. Można jednak wysnuć stąd wniosek odmienny - że dolny próg podatkowy ustawiony był za wysoko („niesłusznie” skorzystali z tego całkiem dobrze zarabiający). Przyjmując takie wyjaśnienie trzeba by opowiedzieć się za propozycją Unii Pracy, wprowadzenia jeszcze jednej - najniższej stawki podatkowej. Patrząc na wszystkie przytoczone tu informacje łącznie, daleki byłbym od tak stanowczych sądów.

Powszechne opodatkowanie podatkiem dochodowym wprowadzono zaledwie kilka lat temu. Prawodawstwo w tym zakresie jest niestabilne, a resort finansów czyni corocznie wszystko, aby zaskoczyć podatników swymi regulacjami. Mimo to ludzie się uczą. Uczą się jak wykorzystywać możliwości płacenia mniej. Choć może lepiej byłoby powiedzieć, że uczą się jak nie płacić więcej niż koniecznie trzeba. Jest to bardzo zdrowy pęd do wiedzy.

Z roku na rok rośnie zainteresowanie wszelkimi przepisami podatkowymi. Wyrównują się siły. Ministerstwo Finansów ma dziś do czynienia z coraz lepiej przygotowanym przeciwnikiem (przepraszam - podatnikiem). Intencją władzy państwowej jest wyciągnięcie z podatnika jak najwięcej. Dysponuje ona w tym celu fachowym aparatem, wiedzą, przymusem prawnym. Intencją podatnika jest zapłacić jak najmniej. Przymusu stosować nie można, aparatu (poza najbogatszymi) nie ma, ale jego wiedza nie musi być znacznie gorsza. Z zupełnie nie zorientowanego żółtodzioba, nie mającego żadnego doświadczenia ani wyobrażenia o podatkach, przeciętny Polak staje się może nie wygą, ale na pewno kimś, kto coraz lepiej umie zadbać o swoje interesy. Każdy przepust fiskusa (np. darowizny) jest bezlitośnie wykorzystywany. I tak już będzie. Nie sądzę więc byśmy zarabiali mniej. Raczej zarabiamy coraz mądrzej. Bo zarabiać, to także nie oddawać państwu tego, co ono (w świetle prawa) nie oddawać pozwala.

Piotr Dominiak



Fot. People In Pictures

Stacja
telewizyjna
MTV
oglądana jest
w 250
milionach
domów
na czterech
kontynentach.

Pracuję w MTV!

Nicky Searle ma 26 lat, a Carney James Turner jest o trzy lata młodszy. Obaj są producentami w MTV - największej telewizyjnej stacji muzycznej na świecie. Do Trójmiasta przyjechali, aby nakręcić krótki film o Piotrze Janczarskim z Gdańska. Piotr zwyciężył w konkursie muzycznym MTV na temat grypy Metallica.

Nicky i Carney, ubrani w sportową odzież, sprawiają wrażenie jeszcze młodszych, niż są w rzeczywistości. Mówią, że kochają muzykę i sport. Dla MTV Europe pracują w siedzibie stacji w Londynie. MTV to bardzo młody zespół. Średnia wieku nie przekracza tu trzydziestu lat.

- Praca w MTV to moje pierwsze zajęcie związane z mediami - opowiada Nicky. - Czasami, kiedy budzę się rano, mówię sobie: „Mogłabym przecież pracować w supermarkecie. Ale ja pracuję w MTV!”

Przeszczep z Ameryki

Pomysł na utworzenie stacji został zaczerpnięty z MTV

Ameryka, która nadawała swój program od 1981 roku. Po pięciu latach jej założyciele stwierdzili, że Europa również potrzebuje stacji, która emitowała muzykę rockową non stop oraz skupiała przed ekranami telewizorów europejską młodzież.

- Naszą pasją jest muzyka. My ją kochamy. Jesteśmy

otwarcia na zmiany, na wszyst-
ko, co nowe - uważa się.

W 1987 roku założyciele MTV Ameryka swoje plany o MTV Europe obiekli w czyn. Miał to być kanał nadawany w języku angielskim, skierowany głównie do młodzieży, którego ideą miało być jednoczenie kontynentu europejskiego. Obecnie twórcy MTV zmienili nieco taktykę stacji i podzielili ją na regiony: północny, centralny i południowy. Tak, aby z profilem kanału utożsamiali się wszyscy jego widzowie.

W świecie prężnie funkcjonują mutacje tej najpopularniejszej stacji na świecie: MTV Latino, MTV Asia, MTV Europe oraz MTV Ameryka. Ostatnio trwają rozmowy nad utworzeniem MTV Australia.

O popularności MTV może świadczyć fakt, że jest codziennie oglądana przez 250 milionów widzów w 64 regionach świata. Odbierana jest na czterech kontynentach. Z kolei MTV Europe nadaje dla 50 milionów domów w 37 krajach.

Luz i muzyka

Nicky twierdzi, że MTV ma na pewno ogromny wpływ na swoich młodych fanów. Dyktuje im na przykład, jak i w co mają się ubierać. Młodzież na całym świecie, wzorując się na prezenterach, nosi te same okulary, dzinsy oraz buty, jakie oni noszą. Przejmują też od swoich bohaterów luźny styl bycia.

Nasz kanał nie emituje reklam proszków do prania, czy płynów do mycia naczyń, ponieważ nastolatki nie chcą być utożsamiane z tymi produktami - twierdzi Nicky. - Wolą raczej szalone i kolorowe, wręcz pędzące, reklamówki. Głos z telewizora wykrzykuje: „Rób to! Pij ten napój! Noś te buty!”. I miliony młodych ludzi, jak automaty, wykonuje te polecenia.

Sukces telewizji MTV polega na produkcie, który jest codziennie sprzedawany tysiącom widzów. Produktem tym jest muzyka.

Nie zastanawiasz się nad tym, o czym mówią nasi prezenterzy, ponieważ muzyka jest telewizyjnym wytwór w nas. Gdybyśmy jej nie prezentowali, nasz kanał miałby niewiele do zaprezentowania. Wideo, sceneria i tło - to są sprawy podrzędne.

Mimo to nad tem i scenarią pracuje całe grono artystów i grafików w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku. To, co widać za plecami prezenterów, nazywane jest blue-boxami, na których realizatorzy wyświetlają animowane zdjęcia, czerwone serduszką lub biegające ludziki. Kolorowe animowane tło było inspiracją dla wielu innych stacji muzycznych, które w ostatnim czasie powstały w świecie. Nad każdym nowym prezenterem, który jest zatrudniany w MTV, pracuje ekipa stylistów i wizażystów.

Sami możecie ocenić, jak wygląda nowo przyjęta osoba na początku, a jak prezentuje się po paru miesiącach pracy w MTV - zaznacza Nicky.

Najchętniej zatrudniani są ludzie z różnych regionów Europy. Mile widziane są osoby po wyższych studiach, z nienagannym angielskim. Dobrze, jeśli kandydat doskonale zna historię regionu, z którego pochodzi. Każdy z ochotników musi zaprezentować swoje umiejętności przed kamerą. Później nagraną kasety ogląda specjalna komisja, złożona

z producentów, operatorów i stylistów.

- Jeśli chcesz pracować dla MTV jako prezenter musisz być zdeterminowany i wiedzieć na pewno, że chcesz to robić - przekonuje Carney.

W ciągłym ruchu

Budynki, w których mieści się stacja, zostały ostatnio rozbudowane. Studio i ekipa techniczna znajdują się na parterze. Powyżej mieści się ogromne biuro. Tam też przyjmowane są gwiazdy zapraszone do programów. Powiększono też zespół, który pracuje dla stacji.

- Atmosfera jest wspaniała. Na korytarzach widać ludzi w ciągłym ruchu... To miejsce tętni życiem i sprawia, że ciągle jesteś aktywny. A kiedy spotkasz na swojej drodze Bryana Adamsa, nie zdziwi cię to wcale - śmieje się Nicky. - Twórcy MTV chcą, aby widz myślał, iż uczestniczy w tworzeniu czegoś wielkiego - zapewnia. - Elastyczność naszego kanału powoduje, że dokonuje się tu ciągle dużo zmian. A młodzi ludzie lubią zmiany.

Elastyczność stacji polega również na tym, że jej pracownicy mogą wykonywać wiele zajęć.

- Jeśli pracowałeś jako prezenter, a nie chcesz dłużej tego robić, możesz następnego dnia produkować taśmy dla MTV Ameryka - mówi Carney.

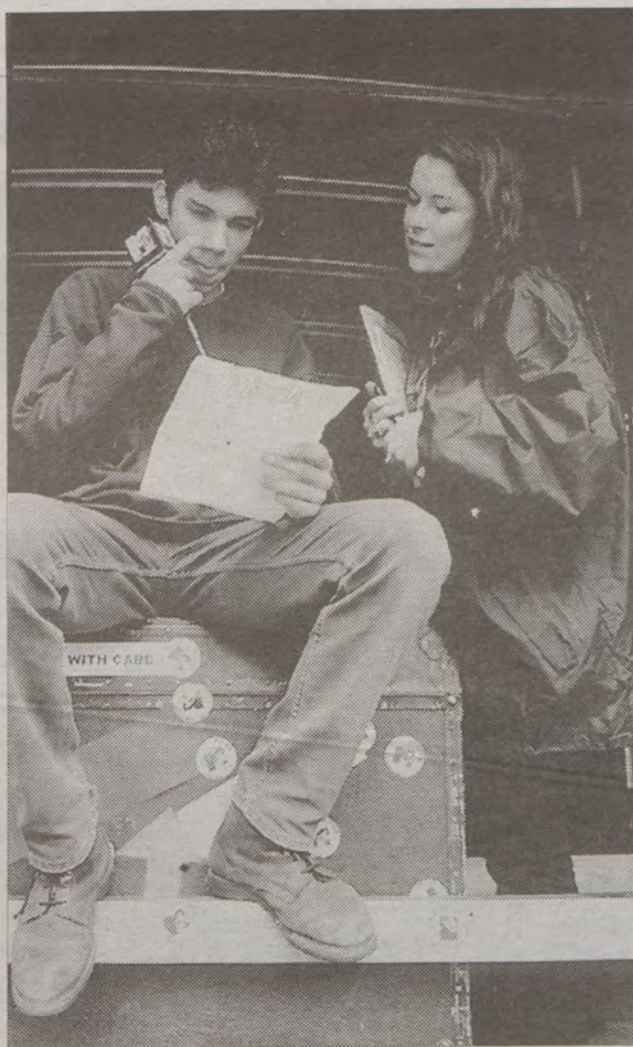
Nowym pomysłem jest wybieranie prezenterów przez widzów.

- Tak było między innymi w Berlinie - opowiada Nicky. - Chcemy, aby nasi widzowie mieli wpływ na zmiany w stacji i oglądali ludzi, którzy im się podobają.

Plotki z MTV

Nickey i Carney opowiedzieli nam kilka plotek na temat znanych i lubianych prezenterów, których możemy codziennie zobaczyć na naszych ekranach. Pipe Dann, która pracowała dla MTV Europe niemal od samego jej początku, odeszła ze stacji.

- Pipe skończyła już czterdzieści lat - mówi Niky. -



Nicky Searle z Piotrem Janczarskim podczas pracy nad filmem.

Fot. Maciej Kostun

A my stawiamy na młodych ludzi. Kiedy odchodziła, była w ciąży z drugim dzieckiem. Wszyscy bardzo szanujemy ją za profesjonalizm.

- Ona naprawdę знаła się na rzeczy! - dodaje Carney.

Paul King od jakiegoś czasu nie pokazuje się na wizji, jednak pozostał w redakcji i pracuje jako wydawca.

Zdaniem naszych rozmówców, cały czas pod znakiem zapytania stoi kwestia Raya Cokesa. Chociaż jego quizy cieszą się ogromną popularnością wśród widzów, najprawdopodobniej odejdzie ze stacji.

Inni prezenterzy: Christine Baker i Enrico odeszli po to,

aby pracować ze swoimi grupami rockowymi. Enrico wyjechał w światowe tournée ze swoją grupą. Lisa robi karierę w telewizyjnej stacji BBC i spodziewa się dziecka...

Divina i Simone są cenione za osobowość i zwariowane podejście do życia. Obie są bardzo lubiane przez pracowników stacji.

- W przeciągu ostatnich pięciu lat pracowałem w wielu kompaniach telewizyjnych, ale atmosfera i sposób pracy w MTV najbardziej mi odpowiada - mówi Carney.

Monika Plińska



Carney James Turner (z lewej) oswaja Piotra Janczarskiego z kamerą.

Fot. Maciej Kostun

Wierzę, że czas Grochowiaka i innych pisarzy niesłusznie przemilczanych lub lekceważonych (Jarosława Iwaszkiewicza chociażby) powoli się zbliża. Oni już swoje odczekali w literackim czyszcisku i dobrze byłoby, gdyby nikt więcej do niego nie trafił.

Pamiętajmy o Grochowiaku

Życie i liryka

Stanisław Grochowiak zmarł mając 42 lata. Umierał powoli i okrutnie. Był alkoholikiem. Pamiętam dzień jego śmierci - gdzie, kiedy i w jaki sposób dowiedziałem się o niej, ale dopiero niedawno odkryłem, że umarł tak młodo. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi; dla dwudziestokilkulatka ktoś po czterdziestce wydawał się pocziwym starcem, a wyobrażenie siebie za dwadzieścia lat przekraczało możliwości wyobraźni. Grochowiak już od swojego pierwszego tomiku wierszy stał się klasykiem, wybitnym poetą, którego miejsce na Parnasie nie podlegało dyskusji. Swoją klasę potwierdzał każdą nową książką - poetycką, prozatorską, dramatami. Przed śmiercią zaczął publikować coś w rodzaju dziennika pisarskiego. To wszystko było dla mnie ważniejsze niż jego metryka. I teraz jeszcze łapię się ze zdumieniem za głowę, że można tyle napisać i umrzeć w połowie życia, pośrodku drogi, nie wypisując do końca kalamarza z atramentem.

W ciągu dwudziestu lat, jakie mijają od jego śmierci, twórczość Grochowiaka została zapomniana. Krytycy skazali Grochowiaka na nieistnienie. Jego nazwisko nie pojawiało się w dyskusjach literackich, nie odwoływano się do jego wierszy, młodym nie wskazywano jego poezji. Która jest poezją najwyższego lotu, poezją przywracającą właściwe proporcje wiersza i poetyckiego języka; Grochowiak nie miał jakim bogatym językiem jest polszczyzna. Ci krytycy, którzy młodości, dołączając do niego kilku nazwisk, obracając nimi aż do wiecznie początkujących, pozbawili prawa do dążności i paru z najważniejszych polskich poetów naszego wieku. Piszę o tym z całą pewnością i biorę za to pełną odpowiedzialność, bowiem piszę nie tylko w swoim imieniu. Gdzie są dzisiaj ci krótkobogacze? Jakże żalostnym widowiskiem stały się wyzwicka między sobą poetów od lat okupujących najwyższe miejsca na liście ułożonej przez krytyków, recenzentów, polonistów. To, jaka jest w tej chwili młoda poezja, z jakiego źródła czerpie wzory, to także wynik tej zwichniętej symetrii i - powiem po męsku - kulturalnego zwyrodnienia.

Wierzę, że czas Grochowiaka i innych pisarzy niesłusznie przemilczanych lub lekceważonych (Jarosława Iwaszkiewicza chociażby) powoli się zbliża. Oni już swoje odczekali w literackim czyszcisku i dobrze byłoby gdyby już nikt do niego nie trafił. Czas jest najlepszym sędzią, on najsprawniej rozstrzyga, co jest kamieniem szlachetnym, a co odpustową błyskotką. Żadnej prawdziwej poezji nie da się zamazać wyrokiem czy to dyktatora czy salonowego Kato-
na.

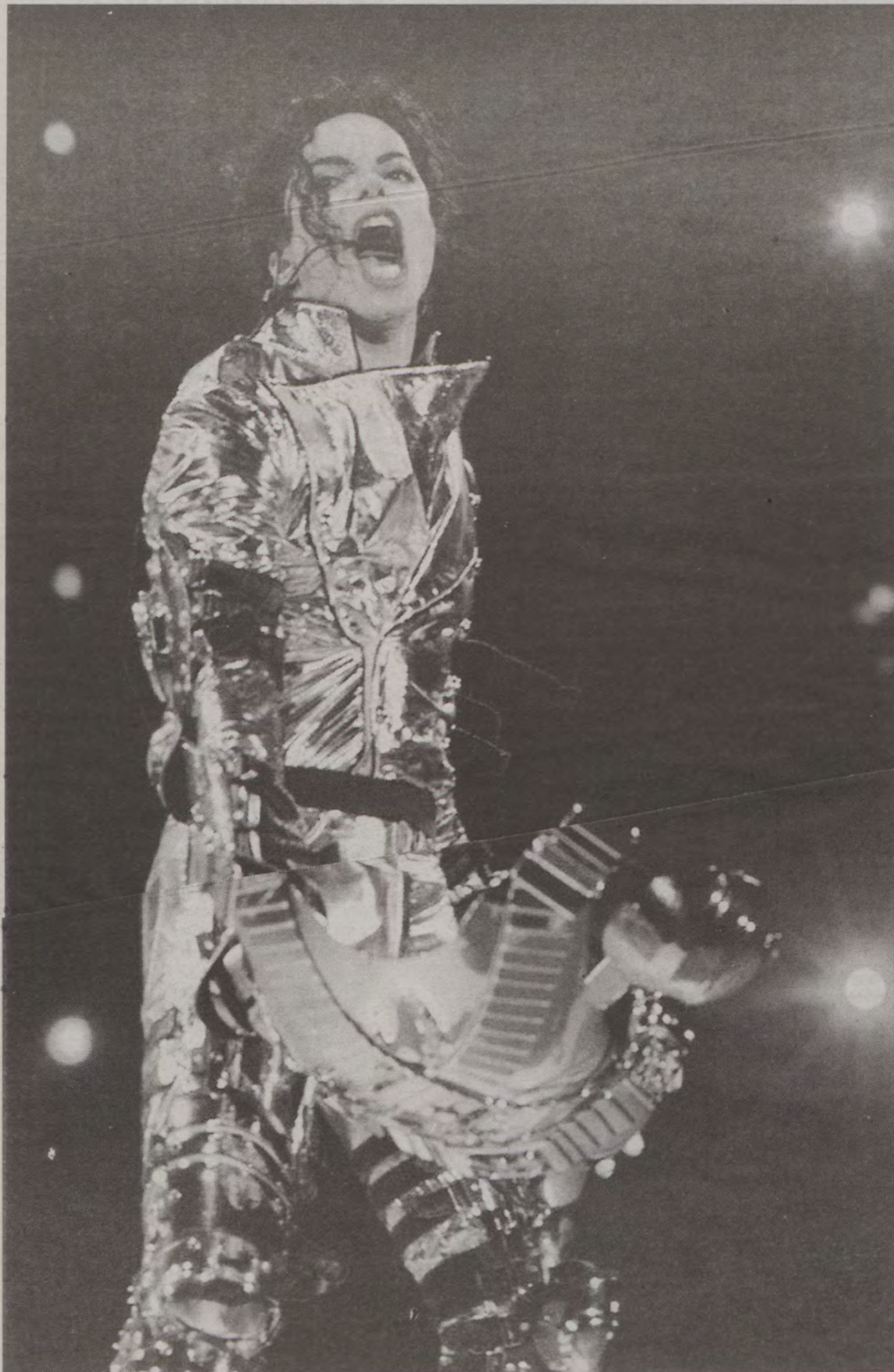
W słowie „poezja” jest coś kruchego i delikatnego. Zdaje się, że głośniejsze jego wymówienie zniszczy tych sześć bezbronnych liter. Już choćby dlatego nie skazujmy poezji na umieranie. Poeci mogą umierać młodo, to jest jakby wliczone w ich los. Poezja niech zostanie. Na zawsze.

Aleksander Jurewicz

PS. Ukłon dla Teatru „Wybrzeże” za wystawienie „Chłopców” Grochowiaka.

Koncert Michaela Jacksona na lotnisku Bemowo będzie największym przedsięwzięciem w historii polskiej rozrywki.

Michael



Podczas praskiego koncertu, rozpoczynającego europejskie tournée, promujące płytę „HIStory”.

Czy chcemy tego czy nie, Michael Jackson jest wielki. Świadczy o tym nakłady jego płyt, wysprzedane bilety na koncerty i zbiorowa ekstaza tłumu w ich trakcie. I choć niejedną, zapytany o swoją sympatię dla Jacksona, pokręci przecząco głową, to w obliczu jego komercyjnych sukcesów, będzie musiał uznać go za fachowca w muzycznym show businessie.

Ten rzemieślnik muzyki pop, jak mało która gwiazda, gwarantuje nam bowiem na swoich płytach towar pierwszej jakości. I nieważne, że tytuł króla popu, który przyłączył już do Jacksona na stałe, jest jego autorstwa.

Muzyczne przedszkole

W wielu kulturach świata siódemka uważana jest za szczęśliwą liczbę. Być może to przypadek, ale Michael Joseph przyszedł na świat 29 sierpnia 1958 roku jako siódme dziecko w rodzinie Katherine i Josepha Jacksonów. W trzypokojowym domku w Gary, w stanie Indiana, miała urodzić się po nim jeszcze dwójka dzieci.

Michael miał szczęście, że dorastał w muzycznej rodzinie. Choć ojciec — były członek rhythm'n'bluesowego zespołu The Falcons — został zmuszony do zmiany gitary na drążki sterownicze dżwigu, to, na szczęście, nie pożegnał się ze swoimi artystycznymi ambicjami. Gdy tylko zauważył, że jego chłopcy obdarzeni zostali świetnym słuchem i wspaniałymi głosami, postanowił wykształcić ich muzycznie. Wielogodzinne lekcje śpiewu, gry i tańca opłacały się. Zespół The Jackson Family w składzie: Jackie, Tito i Jermaine zwrócił na siebie uwagę w 1963 roku. Gdy rok później do trójki braci dołączyli Marlon i sześciolatek wówczas Michael, grupa przyjęła nazwę The Jackson 5.

Czarny brylant

Żadne dziecko z licznej gromadki państwa Jacksonów nie zrobiło takiej kariery, jak właśnie Michael. Na początku ich estradowej przygody nie było to jednak takie oczywiste. Czwórka jego starszych braci miała o wiele więcej czasu, by zwrócić na siebie uwagę. Szansy tej jednak nigdy nie wykorzystali, choć bez wątpienia pomogli filigranowemu braciszкови we wspinaniu się na sam szczyt. Bowiem jako najmłodszy i najbardziej ruchliwy na scenie, skupiał on na sobie uwagę widzów.

Jego wrodzoną umiejętność śpiewania szlifowali kolejno Berry Gordy (szef wytwórni Motown), producent Deke Richards i... Diana Ross. Pod dachem domu boskiej Diany Michaelowi nie było co prawda, jak u mamy za piecem, ale artystyczny protektorat, którego nad nim roztoczyła ta himeryczna gwiazdka, sprawił, że jako Strach na z czasem efekty. To właśnie pt. „Czarnoksiężnik z Oz”. Diana nie wrócił jednak zapewnił normalnej, szkolnej edukacji.

W drodze na szczyt

Michael, podobnie jak bracia, nie mógł chodzić do zwykłej szkoły. Każda próba rozpoczęcia nauki w nowym miejscu kończyła się niepowodzeniem. Przyczyniła się do tego wielka popularność The Jackson 5 na przełomie lat 60. i 70. Michael był już wtedy głównym wokalistą kwintetu i prawdziwym showmanem scenicznym. Do swojego tanecznego repertuaru wprowadził zapożyczony od Jackie Wilsona upadek na jedno kolano, obrót na pięcie Jamesa Browna, a jego ekspresyjny głos został wzbogacony okrzykami w stylu Dian Ross. Z czasem zaadaptował od Gerona Canditate taniec backslide, który zostanie nazwany „księżycowym krokiem”.

W tamtych czasach rodzinny zespół Jacksonów odnosił wielkie sukcesy. Już pierwszy ich singel „I Want You Back” zajął pierwsze miejsce na amerykańskiej liście przebojów i został sprzedany w nakładzie 6 milionów egzemplarzy! Chłopcom, prowadzonym mocną ręką ojca, nie uderzyła jednak do głowy woda sodowa. Z regularnością automatu umieszczali na szczytach list przebojów kolejne hity, przemieniali w platynę swoje albumy, których do 1976 roku ukazało się aż dwanaście. Dla Michaela był to zarazem czwarty rok swobody artystycznej.

Na rozdrożu

Michael, idąc w ślady Donny'ego Osmonda — lidera konkurencyjnej, białej grupy The Osmonds — rozpoczął pod koniec 1971 roku karierę solową. Nie da się ukryć, że decyzja ta — za którą stał Joseph Jackson — miała również podłoże finansowe. Świadczyła o tym dobra sprzedaż „Got To Be There” i „Ben”, pierwszych solowych krążków Michaela, które zajęły w Ameryce odpowiednio czternaste i piąte miejsce na liście sprzedaży płyt.

Łapanie za ogony dwóch przysłowiowych srok skończyło się dla niego w chwili pierwszych, komercyjnych niepowodzeń. Po chłodnym przyjęciu płyty „Music And Me” (1973), i kompletnej klapie „Forever Michael” (1975), oczko w głowie tatusia Josepha musiało samo zdecydować o przyszłości swojej kariery.

Dwójka bez sternika

W 1979 r. pupilek rodziny Jacksonów miał już 21 lat, i zmuszony do podjęcia męskiej decyzji, wywiązał się z tego zadania bez za-

Anioł estrady

rzutu. Wykorzystał zawartą na planie „Czarnoksiężnika” znajomość z Quincy Jonesem, cenionym i rozchwytywanym producentem i wydawcą muzyki soul. Tym samym, który kilkanaście lat później poślubi aktorkę Nastassję Kinski...

Pod jego okiem Michael przygotowuje swój przełomowy album „Off The Wall”, który przyniesie mu pierwszy wielki solowy sukces. Co prawda uwielbienie fanów (11 milionów egzemplarzy sprzedanych do tej pory) nie pójdzie w parze z uznaniem krytyki (album przepadł podczas wręczania nagród Grammy), ale od tej chwili popularność Jacksona będzie już tylko zwyżkować. Przyczynili się do tego w równym stopniu dwaj panowie „J” — Jones i Jackson. Pierwszy pomógł w realizacji i wyborze dziewięciu z trzystu kompozycji przygotowanych na następny album. Drugi skomponował te popowe arcydzieła i przypisał je swoim głosem. Płyta została zatytułowana „Thriller”.

Jestem numerem jeden!

Ten muzyczny dreszczowiec, który wywołał już ciarki na grzbiecie niejednego słuchacza, rozszedł się w rekordowym nakładzie 46 milionów egzemplarzy. Daje to „Thrillerowi” pierwsze miejsce w Księdze Rekordów Guinnessa, jako najlepiej sprzedającej się płyty w historii muzyki.

Na sukces albumu złożyło się wiele czynników. „Thriller” był pierwszą superprodukcją z pogranicza rocka i muzyki soul, co przyciągnęło do sklepów zarówno białych, jak i czarnych nabywców. Płyta była promowana tytułowym, sugestywnym obrazem w stylu horroru, który jako pierwszy teledysk murzyńskiego wykonawcy pojawił się w anglosaskiej MTV. Jego początkowe sekwencje poprzedzone zostały tekstem: „Z powodu moich osobistych przekonań chciałbym podkreślić, że ten film w żaden sposób nie popiera wiary w okultyzm”. Do zamieszczenia takiego komentarza zmusiła go starszyzna Zgromadzenia Świadków Jehowy, z którymi Jackson utożsamia się do dzisiaj. Po raz pierwszy w jego karierze, obok niezaprzeczalnych, artystycznych walorów jego twórczości, do głosu doszła otaczająca go otoczka sensacyjności, która z czasem miała rozrosnąć się do olbrzymich rozmiarów. W przyszłości będzie musiał kilkakrotnie za nią zapłacić...

W niewoli własnego wizerunku

Pierwsza rewolucja image'u Michaela Jacksona nastąpiła w chwili wydania albumu „Off The Wall”. Z jego okładki uśmiecha się do nas wypięknioty młodzieniec o przylizanych, prostych włosach. Imponujące afro piosenkarza dostało się w ręce fryzjera i odtąd głowę Jacksona będą zdobić wyprostowane włosy, ufryzowane w błyszczące loki.

Kontrowersyjne poczynania Michaela staną się z czasem niezwykle pożywną strawą dla sensacyjnych brukowców. To one obwieszczają, że gwiazda zwykła spać w namiocie tlenowym, bo boi się zesterzać. Kupno szczątków człowieka-słonia — Franka Dileo, operacje plastyczne, kuracja hormonalna, były jednak niczym z sensacyjną informacją, która obiegła świat w sierpniu 1993 roku.

Król jest nagi

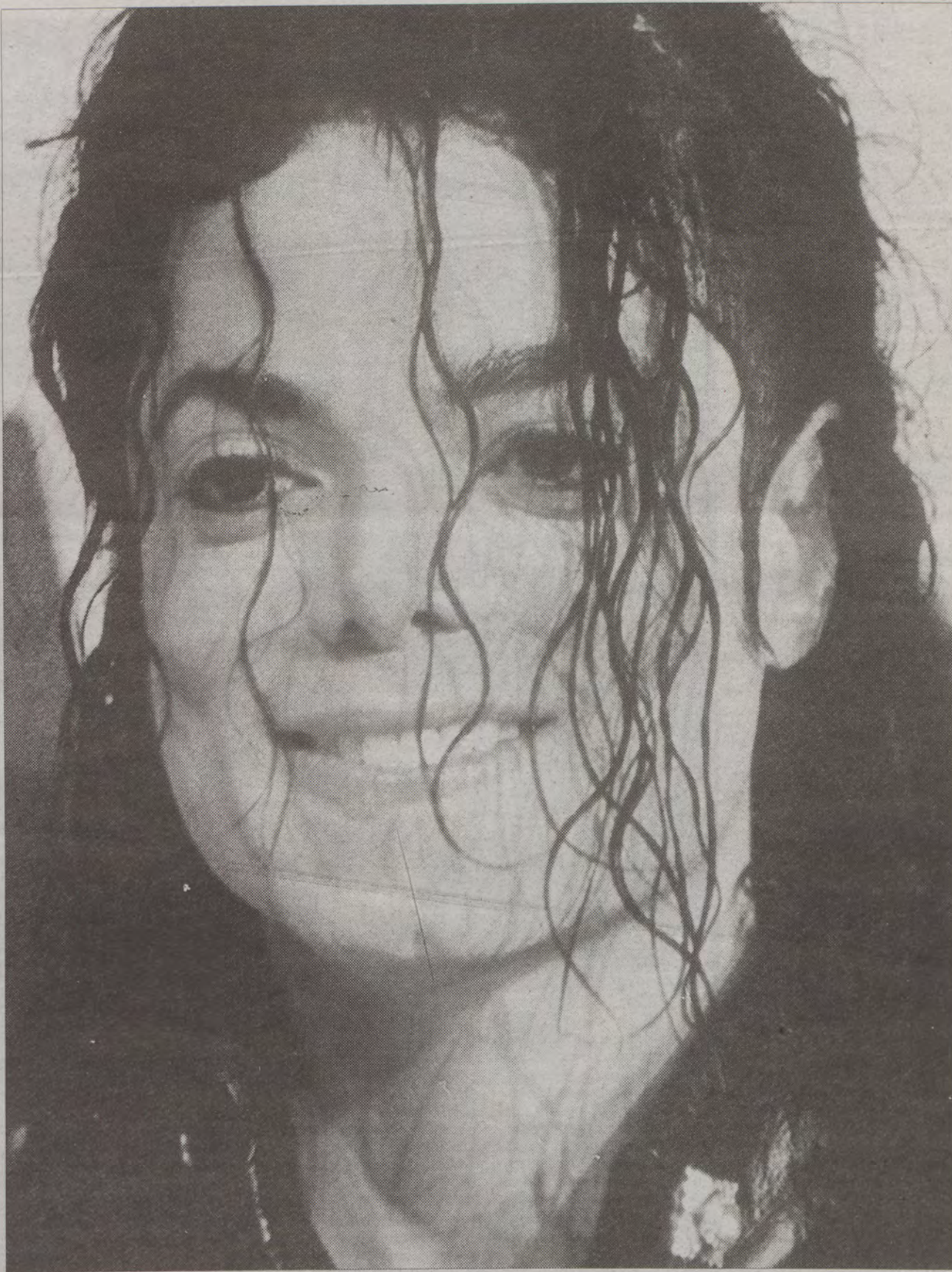
Jackson miał wówczas na koncie kolejne multiplatynowe płyty. „Bad” z 1987 roku (22 mln sprzedanych egzemplarzy) i „Dangerous” z 1991 roku (23 mln) przyniosły mu międzynarodowy rozgłos i wyniosły go do rangi megagwiazdy i króla popu.

Co ciekawe, tytuł ten artysta przyznał sobie sam. W listopadzie 1991 roku prezydent trzech amerykańskich stacji telewizyjnych otrzymali prawo do emisji teledysku „Black & White” pod jednym warunkiem — przed jego emisją muszą tytułować artystę mianem Króla Muzyki Pop.

Pamiętnego sierpnia król okazał się jednak nagi. Evan Chandler, ojciec jednego z jego małoletnich przyjaciół, których Michael zapraszał do własnej posiadłości, oskarżył piosenkarza o seksualne molestowanie swojego trzynastoletniego syna. Po wielomiesięcznym procesie, w czasie którego przesłuchano około dwustu świadków i trzydziestu chłopców, zarzuty zostały odrzucone. Można było zająć się kolejną sensacją, doskonale nadającą się na pierwsze strony gazet.

Papierowe małżeństwo?

Znajomość Lisy Marii Presley i Michaela Jacksona rozłożyła na trzy raty. Po raz pierwszy spotkali się w 1974 roku, kiedy to Elvis Presley zaprowadził swoją córkę na spotkanie z członkami zespołu The Jackson 5. Kolejny raz zobaczyli się dopiero siedemnaście lat później, a pobrali się w tajemnicy 26 maja 1994 roku, w La Vega, w Republice Dominikany. Obok zamążpójścia, że małżeństwo jest nielegalne z przyczyn formalnych, rzutów, że małżeństwo jest nielegalne z przyczyn formalnych, pojawiły się pogłoski, że zostało ono zawarte dla odwrócenia uwagi od procesu. Tym wszystkim, którzy spisali wówczas gwiazdę popu na straty, Michael zamknął usta kolejną produkcją. Wypuszczony na rynek w ubiegłym roku podwójny album „HIStory, Past, Present and Future — Book 1” znalazł się w posiadaniu 12 mln słuchaczy. Tym razem na listach przebojów znalazły



Niegdyś imponujące afro piosenkarza dostało się w ręce fryzjera i odtąd głowę Jacksona będą zdobić wyprostowane włosy, ufryzowane w błyszczące loki.

Fot. PAP/CAF

się takie hity jak: „You Are Not Alone”, „Earth Song”, „They Don't Care About Us” i „Scream”, poparte dodatkowo najdroższym teledyskiem w historii show businessu. Ten dziesięciominutowy filmik kosztował bowiem 9 milionów dolarów, czym przebił obrazki do „Black & White” (4 mln) i „Thriller” (1,2 mln).

Święto muzyki

Do takiego miana urasta polski koncert naszego bohatera, który odbędzie się 20 września na warszawskim lotnisku Bemowo. Ten multimedialny show będzie zarazem sprawdzianem naszych

możliwości w dziedzinie rozrywki. O ogromnej skali tego przedsięwzięcia rozpisują się niemal wszystkie gazety, więc my przytoczymy tylko kilka liczb. Artysta za swój występ otrzyma od jednego do półtora miliona dolarów. W obsłudze koncertu znajdzie się prawie dwustu członków ekipy gwiazdora, którzy przez cztery dni będą budować olbrzymią scenę, przeładowaną z trzech samolotów na kilkanaście ciężarówek. Dla widzów przewidziano 125 tysięcy biletów, nad bezpieczeństwem fanów będzie czuwać dwa tysiące ochroniarzy. Czy już samo to nie robi wrażenia?

Artur Szklarczyk

Tajne służby, narkotyki, walka o telewizję czy autoreklama?

Co się stało

Jerzy Sławomir

Mac został

odnaleziony

rankiem

2 września.

Dziennikarz

pamiętał swoje

nazwisko, ale

obawiał się

kontakty z ludźmi.

Mówił nieskładnie.



o ten proceder. Składał nawet w tej sprawie doniesienia na policję. Osoby znające Maca bliżej mówiły, że nienawiść do dealerów ma źródło w jego tragicznym doświadczeniu w rodzinie...

Ostatecznie, śledztwo dotyczące podpalenia mieszkania zakończyło się oskarżeniem Roberta J. Jest sąsiadem Maca z warszawskiej Chomiczówki. Robert J. nie przyznaje się do winy, a akt oskarżenia w tej sprawie (który trafił do sądu w czerwcu), oparty jest na zeznaniu jednego świadka - incognito zresztą. Dotychczas sąd nie wyznaczył terminu pierwszej rozprawy. Są ludzie, którzy twierdzą, że gdyby ktoś chciał dobrze poszukać - to w życiorysie Roberta J. można znaleźć epizod flirtu ze służbami specjalnymi...

Kiedy w maju, po raz drugi, podpalono drzwi mieszkania Maca - Robert J. siedział w areszcie w Białoleścu. Sprawca drugiego podpalenia pozostaje nadal niezany.

Ostatecznie, jak się wydaje, policja odrzuciła polityczne motywacje ataków na Maca. Trudno zresztą wyobrazić sobie, by policja zajmowała się działalnością służb specjalnych, czykolwiek by one były...

Z lotniczym kwitem

Jerzy Sławomir Mac został odnaleziony rankiem 2 września. Rozpoznali go ochroniarze firmy „Renoma”, kontrolujące stołeczne koleje. Z relacji kontrolera wynika, że dziennikarz pamiętał swoje nazwisko, ale obawiał się kontaktu z ludźmi. Był wycieńczony i odrętwiały. Mówił nieskładnie. Poprosił o papierosa i zapalał go w taki sposób jakby miał skrupowane ręce. Miał torsje, a nie miał czym zwrócić. Był przekonany, że jest środa rano - czyli następny dzień po jego zaginięciu.

Na funkcjonariuszach komendy policji na dworcu Warszawa Wschodnia zrobił wrażenie osoby odurzonej jakimiś środkami. Nieoficjalnie wiadomo, że znaleziono przy nim gotówkę - ok. 2 mln starych złotych, ok. 200 franków i... lotniczy kwit bagażowy. Datowany w dniach, kiedy policja w całej Polsce poszukiwała redaktora Maca...

Prawdopodobnie ów kwit bagażowy jest jedną z tajemnic, której wyjaśnieniem, z urzędu, zajmuje się obecnie wojewódzka prokuratura w Warszawie. Jerzy S. Mac wyjaśnił policji, że gotówka w złotych - to honorarium, które odebrał przed wyjściem z redakcji na feralny, wtorkowy spacer. Franki i kwit bagażowy Lotu - na pewno mu pod-

O trzeciej po południu we wtorek, 27 sierpnia, wyszedł z redakcji na chwilę. Jak powiedział - przejść się. Nie wrócił. O zaginięciu Jerzego Maca, dziennikarza tygodnika „Wprost”, dowiedzieliśmy się 29 sierpnia.

Dobrochna Kędzierska - szefowa warszawskiego oddziału poznańskiego tygodnika - rozmawiała z nim kilka minut przed wyjściem. Ugadniali ostatnie szczegóły - przed jej wyjazdem na dwutygodniowy urlop. Mac miał następnego dnia przejąć jej obowiązki. Stało się jednak tak, że Kędzierska zamiast wyjechać na wypocinek spędziła następne dni w piekle telefonów z zapytaniem - co z Macem?

Jerzy Mac nie dał znaku życia przez ponad pięć dni, do poniedziałkowego ranka (2 września). W piątek telewizyjne „Wiadomości” nadały apel Komendy Stołecznej o informację od osób, które krytycznego dnia widziały Maca w okolicach Nowego Świata lub Ordynackiej.

Redakcja „Wprost” utrzymuje, że nikt nie zażądał okupu. Po trzech dniach od zaginięcia, redakcyjni koledzy Maca tracili nadzieję na to, że zobaczą go jeszcze żywego. Podobnie myślała też policja. Z polecenia szefa MSW, śledztwo w tej sprawie, nadano tryb szczególnie a rzadko się zdarza by policja, natychmiast po zgłoszeniu zaginięcia, angażowała się w tak wyjątkowy sposób w poszukiwanie.

Śledztwo, zgodnie z rejonem zamieszkania dziennikarza, prowadziła Komenda Re-

jonowa Warszawa - Żoliborz, jednak centrum poszukiwań znajdowało się w Komendzie Głównej. Nieoficjalnie wiadomo, że zaraz po doniesieniu o zaginięciu dziennikarza, policja dokładnie sprawdziła środowisko handlarzy narkotyków i narkomanów i wykluczyła, by to właśnie oni byli sprawcami zaginięcia Maca.

Wiadomo też, że przeczuwając niejako możliwość oskarżeń skierowanych w jego stronę - środowisko to kontaktowało się z dziennikarzami innych redakcji tylko po to, by zapewnić, że z zaginięciem Maca nie ma nic wspólnego.

Polityka czy autoreklama

Tymczasem prasa przypomniała całą serię niezwykłych zdarzeń z początku roku, kiedy

to Mac był straszony telefonicznie. Do redakcji przysyłał anonimowe pogroźki, nieznanemu sprawcy demolowali jego samochód, a w marcu podpalono mieszkanie. Telewizyjne „Wiadomości” pokazały resztki spalonych drzwi, osmalone mieszkanie.

Prasa powróciła do sugestii samego redaktora Maca, który wówczas, w marcu, zaraz po pożarze był przekonany o tym, że „określone kręgi”, jak się wyraził, próbują zastraszyć w ten sposób dziennikarzy. Deklarował też nieugiętą postawę wobec „kręgów”. Mac był pewien, że represje, które stały się jego udziałem są zemstą za jego publikacje w tygodniku „Wprost”, m.in. wspominał sprawę tzw. moskiewskich pieniędzy.

Ani wiosną, ani teraz po porwaniu prasa nie mogła wykluczyć sugestii o politycznym

charakterze tych ataków, co niewątpliwie wynikało z roli jaką tygodnik „Wprost” odegrał w sprawie Oleksego.

Mówiono też, że „Wprost” w ten sposób stosuje autoreklamę. Protestując przeciwko takim domysłom, oburzona Dobrochna Kędzierska dowodziła w marcu, że tygodnik sprzedawał się znakomicie, a wydawanie go w większym nakładzie było niemożliwe. Faktem jest, że do dziś „Wprost” nie narzeka na zwroty...

Narkotyki?

W sprawie podpalenia mieszkania dziennikarza „Wprost” policja sugerowała inny trop - otóż Jerzy Mac walczył z handlarzami narkotyków. Jest faktem, że fotografował ludzi, których podejrzewał

z Jerzym Macem

zrucono: albo dla zmylenia śladów, albo żeby go ośmieszyć; sam Mac nie potrafił wyjaśnić skąd 200 franków i kwit znalazły się w jego kieszeni.

Zwyczajny pacjent

Z rąk policji Mac trafił do Szpitala Bielańskiego. Podczas badania stwierdzono światłowstręt i skłonność do torsji po przechyleniu ciała do tyłu. Nie jest prawdą (jak napisała „Gazeta Wyborcza”), że Mac odmówił zgody na tomografię komputerową głowy. Nikt z lekarzy nie proponował mu takiego badania. Pobrano krew i moczu do analizy i zalecono badanie okulistyczne.

Ponadto, podczas oględzin, lekarze twierdzili ślady po nakłuciach na przegubie ręki i na wierzchu dłoni (to samo stwierdził później biegły sądowy). Lekarze nie stwierdzili śladów stosowania wobec dziennikarza przemocy.

Jerzy Mac kategorycznie odmówił pozostania w szpitalu. Obawiał się tam zostać. Powoli, jak sam twierdził, docierała do niego informacja, że uciekło mu z życia pięć dni. Nie mógł sobie nic przypomnieć. Lekarze stwierdzili amnezję. Analizy szpitalne nie wykazały żadnych środków w krwi i moczu dziennikarza. Nadal nieznane są wyniki badań kryminalistycznych i toksykologicznych.

Motywy porwania według Maca

Jerzy S. Mac pamiętał tylko początek tajemniczego zdarzenia: z redakcji poszedł do parku. Wtorek był słonecznym dniem, Mac miał zwyczaj rozsiadać się na ławce i po prostu opalać twarz. Tak odpoczywał. Z jego relacji wynika, że kiedy wyszedł z Ordynackiej i widział już ławki w parku na Okólniku - od tyłu podeszło do niego dwóch mężczyzn. Usłyszał słowo: „policja” - to prawdopodobnie przyhamowało jego krok. Dalej już nie pamiętał.

W wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej” późnym wieczorem 3 września powiedział, że trzymano go „w pomieszczeniu, w którym była umywalka z bieżącą wodą”. Tego samego dnia dla radia RMF powiedział, że jego uprowadzenie jest związane z „szeroko pojętymi interesami jednej z partii koalicyjnych, które ogniskują się w ważnej instytucji życia publicznego”, sugerując, że chodzi o telewizję publiczną, a w grę wchodzi „ogromne pieniądze”.

Według Maca, termin jego porwania nie był przypadko-

wy, gdyż miał w tym czasie odbyć ważne spotkania, dzięki którym miał uzyskać informacje związane z sytuacją w publicznej telewizji. Wykluczył też, jakoby jego uprowadzenie miało związek ze sprawą Oleksego. W wywiadzie dla RMF FM Mac wspominał, że wraca mu pamięć, że pamięta pomieszczenia gdzie go przetrzymywano i ludzi, którzy tam byli. Nie podał jednak żadnych szczegółów lub też sugerował, że podał je podczas składania zeznań.

Mając w pamięci fakt, że dzień wcześniej obawiał się zostać w szpitalu - nie wolno lekceważyć tej wypowiedzi. Wynika z niej bowiem, że Mac świadomie straszy sprawców uprowadzenia... Czy prokuratorskie śledztwo dało mu aż tak silne wsparcie, że nie obawiał się wysyłać takich sygnałów?

Przyjaciele Maca nie wykluczają, że jego uprowadzenie jest jakimś „odpryskiem” walki wewnątrz polskich służb specjalnych. Wspominają w tym kontekście konflikt pomiędzy szefem MSW, który objął patronat nad śledztwami w sprawach Maca, a nazywanym „kanclerzem” - szefem URM, Leszkiem Millerem.

Pragnący zachować anonimowość funkcjonariusz policji stwierdził, że sprawa Maca „śmierdzi”; wygląda na to, że ktoś go nieźle postraszył. Na pytanie, jak długo służby specjalne pozostaną bezkarne w swoich działaniach w Polsce - nie chciał jednak mówić.

W czwartek i piątek (5 i 6 września) Jerzy S. Mac był przesłuchiwany w prokuraturze

w charakterze świadka. Śledztwo było powodem, dla którego Mac odmówił wypowiedzi „Rzeczpospolitej” i telewizyjnym „Wiadomościom”.

Stonowany kontestator

Wielu dziennikarzy pamięta go sprzed 89 roku i nie ma chyba osoby, która zaprzeczyłaby stwierdzeniu, że radykalizm redaktora Maca jest dość świeżej daty. W latach 1979 - 89 pracował w „Prawie i Życiu”. Od maja 82 roku do maja 84 roku pracował dla „Przeglądu Tygodniowego”. W tamtych latach nie wyróżniał się nadzwyczajną surowością ocen w stosunku do panujących porządków.

Nie był nigdy działaczem opozycyjnym. Dużym zaskoczeniem były jego wypowiedzi po podpaleniu mieszkania, że czuje się represjonowany przez jakieś polityczne kręgi za swoje publikacje we „Wprost”. Mac w swoim środowisku nie należy do najbardziej wojowniczych z władzą dziennikarzy. Nie wyrzyna się przed szereg, nie zaskakuje nowinkami o korupcji czy też agenturalnej przeszłości polityków.

To nie on był autorem słynnego artykułu we „Wprost” pt. „Wielka gra”, w którym opublikowano słynne kryptonimy dwóch działających na szczytach władzy, do dziś publicznie nie zidentyfikowanych - agentów radzieckiego i rosyjskiego wywiadu: „Minim” i „Kat”.

Bardziej czytelne byłoby represjonowanie red. Jana Ciele-

męckiego, który dostarcza „Wprost” rewelacyjnych przecieków ze służb specjalnych. W opinii dziennikarzy, wiedza Cielemeckiego może zasługiwać na polityczną zemstę służb.

Jerzy S. Mac wprawdzie dwukrotnie pisał o sprawie Oleksego, ale daleki był od stawiania kategoriicznych zarzutów i wydawania skrajnie nieprzychylnych władzy ocen. Sytuacji w Telewizji Polskiej poświęcił kilka artykułów i jak z nich wynika, orientował się nieźle. Wydaje się, że miał zawsze kompetentnych informatorów. Jednakże nie wychylał się z ocenami poza schemat jakiego narzucały ogólnopolskie dzienniki.

Wątek z Woronicza

Jego sugestie, że uprowadzenie związane jest z wydarzeniami na Woronicza wzbudzają kpiny wśród dziennikarzy. Faktem jest, że w dniach, kiedy Mac zaginął - zarząd TVP zdymisjonował szefa Jedynki - Tomasza Siemieniaka i usunął z anten program „Echa dnia”, który miała realizować ekipa „Pulsu dnia”.

Kraży opinia, że gdyby owego krytycznego dnia doszło do zaplanowanego spotkania Maca z pewną wpływową osobą - mógłby on złożyć do najbliższego numeru „Wprost” artykuł zawierający informacje skutecznie uniemożliwiające atak SLD-owskich członków zarządu TVP na ekipę „Pulsu

dnia”. Mało kto jednak w to wierzy.

O „wielkich pieniądzach” w TVP aż huczy. Pozycja odpowiedzialnego za finanse SLD-owskiego prezesa, Jeziorańskiego, jest mocno naruszona. Trudno jednak wyobrazić sobie rewelacje, które zmieniłyby polityczną wolę postkomunistów wyrzucenia z Woronicza wszystkich, którzy się z nimi nie zgadzają...

Strach czy autoreklama

W oczach kolegów po fachu Mac uchodzi za narcyza, człowieka, który dla autoreklamy mógł nawet zniknąć... Nie można tego udowodnić, ale w redakcyjnych dyskusjach niewielu wyklucza taką możliwość. Musiałby jednak wtedy być człowiekiem pozbawionym skrupułów. Ryzykowałby zdrowiem, a nawet życiem swoich schorowanych rodziców, dla których jego zniknięcie - to wiadomo - było dramatycznym przeżyciem.

Trudno tu nie wspomnieć nadzwyczajnej reakcji tygodnika „Wprost”, który w maju br. (nr 21) piórem Aleksandry Zawłockiej, sugerował kompletną obojętność policji wobec aktów przemocy, które spotykały Maca od nieznanym sprawców. Wspominając telefoniczne pogroźki, podpalenia, samochód na fałszywych numerach, który na drodze chciał staranować pojazd Maca - dziennikarka wskazuje, że policja odmawiając Macowi specjalnej ochrony, prowokuje tragedię.

„Na co czeka policja?” - pytała Zawłocka. - „Czyżby na nową sprawę Pyjasa bądź Przemyka?”

Ton tego pytania ustawiał polityczny i tajemniczy kontekst przypadku Maca. Istotne jest, że sama redakcja narzucała taki sposób interpretacji tego przypadku. Czy redakcja robiła to dla reklamy, czy może w samoobronie?

Po kilku tygodniach od publikacji o radzieckiej i rosyjskiej agenturze na szczytach władz RP - tygodnik jakby „przysiadł”. Osłabły ataki na Oleksego; zapomniano własne wojownicze groźby pod adresem władzy, o której „coś bardzo ważnego” było redakcji wiadome.

Interesujące będzie - co sama redakcja sądzi o sprawie zaginięcia ich dziennikarza. Czy przekona czytelników, że uprowadzenie jest atakiem na niezależność dziennikarzy? Prawdziwa, dramatyczna wojna rozgrywa się na tym polu w publicznej telewizji. Czy historia Maca mogła służyć odwróceniu od niej uwagi? Tajemniczą zagadką pozostaje nadal lotniczy bilet bagażowy. Trudno przewidzieć, czy otrzymamy kiedyś wiarygodne odpowiedzi na te pytania. Wiele zależy od tego - ile pamięci wróci redaktorowi Jerzemu Sławomirowi Macowi. Jednak w przypadku amnezji - pamięć albo nie wraca, albo szczegóły zdarzeń będą prześladowały Maca przez lata. Chyba, że...

Marek Modzelewski.

GRATIS!

OC AC NW

UWAGA! Ilość ograniczona
TERMIN DO KOŃCA WRZEŚNIA!



ESCORT
1.6 i, 16 V, CL
4-drzwiowy

UBEZPIECZENIE
OC, AC, NW
w PZU
za darmo!



MONDEO
1.6 i, 16 V, CLX
4-drzwiowy

OSTATNIE samochody w kontyngencji!

TYLKO



Euro-Car

81-020 Gdynia, ul. Owsiana 13, tel. (058) 23 68 08, 29 73 65, fax (058) 23 69 98



Naprzeciwko stał
pusty purpurowy tron.
Oczekiwanie
przedłużało się
ale nam czas płynął
inaczej. Czekaliśmy
w skupieniu, gdy
nagle rozległ się
ledwo słyszalny
dźwięk dzwonka...

Pamiątkowe zdjęcie „rodzinne” przed
wejściem do pałacu w Castel Gandolfo.
Wśród harcerzy ojciec Konrad Hejmo,
odpowiedzialny za kontakty polskich
pielgrzymów z Ojcem Świętym.
Fot. Michał Rzepiacki



Naczelny kapelan ZHR, ksiądz harcmistrz Zbigniew Formella i wiceprzewodniczący związku, harcmistrz Marek Różycki przekazali Ojcu Świętemu akt zawierzenia organizacji, złożony w sierpniu br. na Jasnej Górze.

Fot. Arturo Mari

Cz z papi

6 września 1984 roku, grupa instruktorów z całej Polski, wbrew władzom „wiernego socjalizmu” harcerstwa spotkała się z Ojcem Świętym w jego letniej rezydencji w Castel Gandolfo. Przy ognisku przekazał papieżowi raport o sytuacji w kraju. Nikt wówczas nie przypuszczał, że „niepokorni” harcerze stworzą Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej - a jego przedstawiciele, dwanaście lat później, staną na ofi-

cialnej audycji pro-
ka św. Piotra.

**Wszystkie drogi
Castel**

Wśród ponad stu
czących w pielgrzym-
towało siedem osób
szawy przez Jasną
rencję do Rzymu.

- Wasza Świętość, kochany nasz Ojciec Święty. Przyby-
wamy do Ciebie, aby zameldować, że autentyczny ruch harcerski
w Polsce, pracujący w oparciu o wartości chrześcijańskie i po-
triotyczne, umacnia się i rozwija. W naszej ojczyźnie głoszenie
tych powszechnie uznanych zasad napotyka na różnorodne trud-
ności, ale my chcemy te wartości wcielać w życie. Dlatego



Uwaga

niezmem

obliczem namiestni-
prowadzą do...
andolfo
derów ZHR, uczestni-
e, Pomorze reprezen-
Trasa wiodła z War-
prę, Bratysławę i Flo-
potem jeszcze Monte

Cassino i Wenecja. Trudno oprzeć się wra-
żeniu, jakie pozostawia oglądanie wieczne-
go miasta, ale wszyscy myślami byli w Ca-
stel Gandolfo. I wreszcie nadszedł długo
oczekiwany dzień. Autokary zatrzymały się
na parkingu u podnóża miasteczka. Wysia-
dających dobiegł głos mężczyzny, obwie-
szającego harmonijkowo rozkładanymi poczt-
ówkami.

Dokończenie na str. 16

sierpnia br. na Jasnej Górze, w obecności prymasa, zło-
żyliśmy Królowej Polski akt zawierzenia, powierzając jej losy
naszego związku. Dziś przybyliśmy tu do Ciebie Ojciec Święty,
prosząc abyś to zawierzenie i nas pobłogosławił
- przewodniczący Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej harc-
mistrz Feliks Borodziak.

- Życzę aby Służebnica Pańska, bez reszty oddana woli Bożej przewodziła Wam w harcerskiej służbie. Dzisiejszemu światu potrzeba czytelnego świadectwa wiary, nadziei i miłości. Potrzebuje go zwłaszcza młodzież, której przypadnie żyć w trzecim tysiącleciu. Organizacja harcerska wychowuje młodzież w duchu tradycji chrześcijańskich i narodowych, uczy poszanowania całego dzieła stworzenia, a nade wszystko godności każdego człowieka. Hasło „czuwaj” przypomina o potrzebie baczного rozróżniania prawdy od fałszu, dobra rzeczywistego od złudnych pozorów. Wśród wielu błędnych tropów trzeba umieć odnaleźć ślady Chrystusa. Wydaje mi się, że nasza ojczyzna bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje kształtowania ducha jedności w sercach ludzi, szczególnie ludzi młodych, którzy podejmą lub podejmują odpowiedzialność za przyszłość własną i narodu. Niechaj Najświętsza Maryja Jasnogórska wspiera Was w dziele wychowywania do odważnej i ofiarnej służby, do czujności i odpowiedzialności. Z serca udzielam Wam apostolskiego błogosławieństwa na dalsze lata harcerskiej służby

- Jan Paweł II

Gratka

DZIENNIK BAŁTYCKI

SOBOTA, 21.09.

DODATEK BEZPŁATNYCH I PŁATNYCH ANONSÓW

CO ZROBIĆ

żeby Twoje ogłoszenie drobne ukazało się ZA DARMO?

- 1 Kup „DZIENNIK BAŁTYCKI”**
- 2 Wytnij kupon**
- 3 Wrzuć wypełniony kupon do skrzynki** przy Biurze Ogłoszeń „DB” lub wyslij listem, kartką pocztową tak, aby trafił do czwartku, do godz. 12 do Biura Ogłoszeń, lub skrzynki „Gratki”
- 4 Ogłoszenie ukazuje się w „Gratce” - dodatku do „DB” za darmo**

KUPONY MOŻNA WRZUCAĆ DO SKRZYNEK „Gratki”:

Gdańsk, Centralne Biuro Ogłoszeń:
80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7,
Gd.-Wrzeszcz, ul. Biała, róg ul. Wyspiańskiego
(przy targowisku)
Gd.-Wrzeszcz, ul. Dębinki
(przy wejściu do Szpitala Klinicznego nr 1)
Gd.-Przymorze, ul. Chłopska (przy targowisku)
Gd.-Zaspa, ul. Jana Pawła II (przy głównym
wejściu do szpitala)
Gd.-Zaspa, ul. Rzeczpospolitej (przy ETC - fryzjer)
Gdynia, Biuro Ogłoszeń, ul. Władysława IV 17
Gdynia, Biuro Ogłoszeń, ul. Świętojańska 141 b,
Sopot, Biuro Ogłoszeń, ul. Kościuszki 61,
Pruszcz Gdański, Biuro Ogłoszeń
ul. Tysiąclecia 8,
Tczew, Biuro Ogłoszeń, ul. 1 Maja 4,
Elbląg, Biuro Ogłoszeń, ul. Łączności 3,
Starogard Gdański, Biuro Ogłoszeń,
ul. Basztowa 3,
Wejherowo, ul. Sobieskiego 270

spis rubryk i podrubryk

1. AUTO-MOTO	7. NARZĘDZIA
1A sprzedam samochód osobowy	7A sprzedam
1B sprzedam samochód ciężarowy	7B kupię
1C sprzedam motocykl	8. MATERIAŁY BUDOWLANE
1D sprzedam przyczepę	8A sprzedam
1E sprzedam części zamienne	8B kupię
1F sprzedam inny pojazd	8C usługi
1G kupię samochód	9. TURYSTYKA I SPORT
1H kupię inny pojazd	9A sprzedam sprzęt
1I kupię części zamienne	9B kupię sprzęt
1J zamienię samochód	9C wypoczynek
1K zamienię inny pojazd	9D przejazdy
1L skradziono	9E serwis
1M usługi motoryzacyjne	10. ZDROWIE
1N taxi	10A sprzedam
1O przewozy	10B kupię
1P autostop	10C usługi medyczne
1Q wypoczynki samochodów	11. ODBIEŻ
	11A sprzedam
	11B kupię
	12. NAUKA
	12A oferuję
	12B poszukuję
	13. ZWIERZĘTA I ROŚLINY
	13A sprzedam zwierzęta
	13B sprzedam rośliny
	13C kupię zwierzęta
	13D kupię rośliny
	14. FOTO
	14A sprzedam
	14B kupię
	14C zamienię
	14D usługi
	15. MUZYKA
	15A sprzedam
	15B kupię
	15C zamienię
	15D usługi
	16. HOBBY
	16A sprzedam
	16B kupię
	16C wymienię
	17. RÓŻNE
	17A sprzedam
	17B kupię
	17C zgubiłem
	17D biznes
	18. MATRYMONIALNE
	19. ODDAM ZA DARMO
	20. PROSZĘ O POMOC
	21. ŻYCZENIA
	22. HYDE PARK

Do wiadomości biura ogłoszeń

adres

numer dowodu osobistego

telefon

podpis

Nie zapomnij!

Wytnij kupon - 1 wrzuć do skrzynki „Gratki” przy Biurach Ogłoszeń lub 2 prześlij pocztą pod adresem 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 Centralne Biuro Ogłoszeń „Dziennika Bałtyckiego”

*** TYLKO DLA OSÓB PRYWATNYCH**

- w treści ogłoszeń DO PODRUBRYK ODMIENIE SPRAWDAM NALEŻY PODAĆ CENĘ

- WSKAZIĆ CENĘ W NOWYCH ZŁOTYCH POLSKICH

- OGŁOSZENIA W RUBRYKACH: ODDAM ZA DARMO - PROSZĘ O POMOC MOŻNA NADAĆ TYLKO OSOBIŚCIE W BIURACH OGŁOSZEŃ

- W OGŁOSZENIU PODAĆ: MIEJSCOWOŚĆ, ADRES, NUMER TELEFONU

- BIURO OGŁOSZEŃ ZASTRZEŻA SOBIE PRAWO DO ZREDAKOWANIA I SKŁASFIKOWANIA OGŁOSZENIA LUB JEGO NIEZAMIESZCZENIA

Gratka - bezpłatny kupon uprawniający do jednego ogłoszenia drobnego w dniu

21.09

38

podrubryki

rubryki



Czuwać z papieżem

Dokończenie ze str. 15

- Niedrogo, 20 sztuk, tylko dwa tysiące lirów - usłyszeliśmy łamaną polszczyzną. W kolumnie dwójkowej ruszyliśmy stromą uliczką w górę. Po chwili ujrzelśmy rezydencję papieską, a przed nią szwajcarską gwardię i panów w garniturach i ciemnych okularach. Sprawdzenie czy nie przemycamy do środka niepotrzebnych przedmiotów i już jesteśmy na dziedzińcu.

Audiencję wyznaczono na godzinę jedenastą. Usiedliśmy w dwóch rzędach krzeseł. Naprzeciwko stał pusty purpurowy tron. Oczekiwanie przedłużało się, ale nam czas płynął inaczej. Czekaliśmy w skupieniu, gdy nagle rozległ się ledwo słyszalny dźwięk dzwonka.

- Papież chyba przyjechał windą - usłyszałem głos z boku (czy w tak wiekowym pałacu

jest winda? - pomyślałem), ale to naprawdę nie było istotne. Na ten dźwięk ochrona i reporterzy watykańscy poruszyli się. Wstaliśmy z miejsc. Nie myliliśmy się. Z bocznego skrzydła pałacu wyszedł papież. Charakterystycznym ruchem ręki przywitał nas. Grymas na jego twarzy zdawał się układać w uśmiech - uśmiech, którego na próżno było szukać później. Ktoś zaczął klaskać.

Łzy wzruszenia

Władze związku złożyły Ojcu Świętemu meldunek o polskim harcerstwie i sytuacji młodzieży w kraju. Przekazano w darze papieżowi złożony krzyż harcerski i akt zawierzenia ZHR Pani Jasno-górskiej. Jan Paweł II, po krótkim wystąpieniu, pobłogosławił nam i organizacji. A potem z każdym osobiście zamienił kilka słów, wręcza-



Na moment zostaliśmy z papieżem tylko my sami - twarzą w twarz. To było niesamowite przeżycie.

Fot. Arturo Mari

jąc różaniec. Na moment zostaliśmy z papieżem tylko my sami - twarzą w twarz. Nagle zniknęli harcerze, nie miałem pojęcia, że obok mnie pracują fotoreporterzy. To było niesamowite.

- Jesteśmy małżeństwem harcerskim z Gdańska - powiedziałem, podchodząc z żoną do

papieża. Ile lat? Sześć - odparłem. Szczęść Boże, usłyszałem, gdy pochyłony całowałem jego pierścień.

Na koniec papież ustawił się z nami do pamiątkowego zdjęcia. Gdy odchodził, poruszając się z wyraźnym trudem, zaśpiewaliśmy mu harcerską pieśń. Zanim zniknął

w bramie pałacu, odwrócił się, oparł o mur i wysłuchał nas do końca. Potem uniósł rękę w pożegnalnym geście i cicho odszedł w półmrok. Obraz ten, niemalże symboliczny, będzie mi towarzyszył do końca życia.

W niedzielę, na Anioł Pański mieliśmy szczęście jesz-

cze raz spotkać się z Janem Pawłem II. Po modlitwie, zwracając się do Polaków pozdrowił nas. Gromki okrzyk: „Czuwamy!” i modlitwa harcerska przez chwilę wypełniły dziedziniec nabity pielgrzymami ze wszystkich stron świata.

Michał Rzepiak

Stan zdrowia Jana Pawła II stał się w ostatnich dniach, tematem prasowych spekulacji. Pogłoski o przyczynach złej kondycji Ojca Świętego nasiliły się szczególnie po jego wystąpieniach w Castel Gandolfo i podczas pobytu na Węgrzech. Trudno nie było dostrzec oznak zmęczenia papieża, poruszał się z wyraźnym trudem, zauważalne było drżenie lewej ręki i opadająca powieka. Po raz pierwszy, w historii zagranicznych podróży, papież, podczas niesporów, odczytał tylko część kazania. Wyjaśnienie, że było ono wyjątkowo długie, a język węgierski trudny - okazało się niewystarczające. Podniosły się głosy, sugerujące nieuleczalną chorobę i rychłą rezygnację Ojca Świętego z papieskiego tronu.

Plotki te kategorycznie zdementował Watykan. Zdaniem rzecznika Stolicy Apostolskiej Joaquina Navarro Vallsa Jan Paweł II cierpi na przewlekłą chorobę o nieznanym, prawdopodobnie wirusowym pochodzeniu. Być może po operacjach chirurgicznych, jakie papież przeszedł w 1981 i 1992 roku pozostały zbliznowacenia lub stan zapalny, które powodują powracanie dolegliwości. Powtarzające się w ciągu ostatnich kilku miesięcy infekcje układu pokarmowego, a niedawno bóle brzucha i podwyższona temperatura, spowodowały konieczność silnej antybiotykowej kuracji papieża. Odporność 76-letniego organizmu na medykamenty okazała się niewystarczająca, stąd taki, a nie inny stan Ojca Świętego - twierdzi Valls. Wyklucza on także pogłoski o złym leczeniu papieża.

Prawdopodobnie jeszcze w tym miesiącu papież podda się specjalistycznym badaniom jamy brzusznej. Sugestie prasy włoskiej o planowanej hospitalizacji w klinice „Gemelli” dziś Watykan odrzuca.

Ojciec Święty nie zamierza przerwać pielgrzymowania. Już za kilka dni udaje się do Francji. W przyszłym roku odwiedzi Czechy, Polskę, Brazylię i stolicę Francji - Paryż.



Po audiencji. Za nami pałacowa brama, za którą zostawiliśmy doświadczenie niezwykłości...

Fot. Michał Rzepiak



Jak wielkie jest zapotrzebowanie na przeżycia mistyczne, świadczy wizyta kanadyjskiego misjonarza o. Emiliena Tardifa - na spotkanie z nim do Łodzi przybyło dwieście tysięcy ludzi z różnych stron Polski.

Fot. PAP/CAF

Człowiek
New Age
uważa, że
aby umieć
kochać
bliźniego
swego,
trzeba się
najpierw
nauczyć
kochać
siebie.

New Age

Afirmacja mocy i życia

Za sto lat z okładem zacznie się panowanie Wodnika, które przynieść ma doskonalenie samego siebie, kult boskiego pierwiastka w człowieku. Odtąd ludzkość ma żyć w pokoju. Tak już bowiem jest, że każdy znak Zodiaku niesie zmiany, a występują one co 2150 lat. Tak więc, gdy dwa tysiące lat przed Chrystusem była era Barana, panował kult Amona - boga z głową tego symbolu, a oskarżanego o tępotę zwierzęcia. Wraz z erą Ryb zaczął się czas chrześcijaństwa (ryba była pierwszym jego znakiem), który właśnie teraz się kończy.

Na dowód, że chrześcijaństwo dobiega końca dziejów, przytaczane jest też proroctwo Malachiasza. Oto, co na ten temat pisze Czesław Ryska w książce „Papież końca czasów”: „Św. Malachiasz był Irlandczykiem, urodził się w 1094 w Armagh. Wyświęcony w 1119 roku został opatem cystersów w Bangor, cztery lata później biskupem w Conor, a następnie prymasem Irlandii oraz legatem papieskim. Dał

się poznać jako dobry duszpasterz i organizator życia kościelnego. Zmarł w drodze do Rzymu, w opactwie cystersów w Clairvaux. Miał wówczas 54 lata. W 1190 r. papież Klemens III wyniósł go na ołtarze”.

Koniec czasów

W proroctwie Malachiasza znajduje się lista 111 papieży, poczynając od Celestyna II (1143-1144) do ostatniego, po

którym nastąpi koniec świata. Każdy z papieży posiada swój kryptogram, który w jakimś stopniu oddaje cechę osoby lub pontyfikatu. Na przykład Paweł VI: flos florum - kwiat kwiatów, a miał on w herbie lilie. Po Janie Pawle II (de labore soli - z pracy słońca - kryptogram, nawiązujący do fizycznej pracy Karola Wojtyły w czasie wojny, pod gołym niebem) pozostał tylko jeden kryptogram: gloria olivae - chwała oliwki. „Czy to oznacza, że czeka nas jeszcze tylko ostatni pontyfikat papieża o innej barwie skóry? Z pewnością tak uważał św. Malachiasz, który na zakończenie proroctwa napisał: *Podczas ostatecznego prześladowania Świętego Rzymskiego Kościoła zasiądzie Piotr Rzymianin, który paść będzie owce wielu utraconych, po przeminieniu których państwo na siedmiu wzgórzach położone, zniszczone zostanie, a straszny sędzia będzie karał swój lud. Koniec.*” Tyle Ryska.

Koniec państwa watykańskiego to jeszcze nie koniec świata - twierdzą ci interpretatorzy proroctwa, którzy widzą w nim zapowiedź wyzwolenia ze skostniałego chrześcijaństwa i nadejście Nowych Czasów.

Co to jest New Age?

Jest to ruch bez definicji, przywódców, dogmatów, świętej księgi. Można o nim opowiedzieć „własnymi słowami”, przy czym każda taka wypowiedź będzie się różniła od drugiej. Uważa się, że prekursorem ruchu był Prentice Mulford - obiecywiał, a potem dziennikarz w USA - którego książki obecnie przeżywają renesans (w Polsce wiele nakładów miały „Moc ducha”, „Moc

snach, wszystko to było czynnikiem postępu w głąb ku rosnącej mocy, wzwyż ku względnemu udoskonaleniu, a przez nie ku szczęściu. Albowiem sensem żywota jest szczęście”.

Ruch New Age zachwycił się tymi słowami, sięgnął do pism mistyków buddyjskich, hinduistycznych, chrześcijańskich i odkrył, że Bóg jest jeden, a religie tylko odgradzają od Niego człowieka. Powodują, że - jak pisze jezuita Anthony de Mello - „Najświętszy Sakrament staje się ważniejszy niż sam Jezus Chrystus”. Konsekwencją było odrzucenie dogmatu o grzechu pierworodnym, zerwanie z rozróżnianiem duszy i ciała, rozumu i uczucia, świadomości i nieświadomości (pod i nadświadomości). Świat znajduje się w procesie przekształcania od form materialnych do duchowych, albo - jak mówi Teilhard de Chardin - trwa ewolucja ducha ku przeobrażeniu. Człowiek jest częścią wszechświata i chodzi o to, aby żył w harmonii z jego porządkiem, otwierając się na wszechobecną łaskę. New Age zrywa z pomniejszaniem roli ciała i przekonaniem o jego grzeszności.

Sacrum może być też przeżywane w kontakcie z kochanym człowiekiem. Sfery erotycznej nie trzeba też nobilitować za pomocą funkcji rozrodczych, a przyjemność nie jest czymś niższym. Człowiek New Age uważa, że aby umieć kochać bliźniego swego, trzeba się najpierw nauczyć kochać siebie, a zamiast posługiwać się zakazami, pomagać sobie pozytywnym myśleniem. Albowiem myśl jest twórcza, to też w jaki sposób o sobie myślisz, takim się stajesz. Należy rozwijać swoje umiejętności i afirmować życie. Wydobyc

jest, to znaczy szarego. Z jego ciężarami i odpowiedzialnością, lecz pragną uciec od tej przytłaczającej ich rzeczywistości. Dzieje się tak tym łatwiej, że powszechnie porzuciliśmy wiarę w racjonalny paradygmat nauki i wiedzy: nie wierzymy już w rozum, potrzebujemy utopii. No i teraz utopii dostarcza nam New Age.

Charyzmatycy

Wydaje się, że odpowiedzią Kościoła jest ruch Odnowy Charyzmatycznej. Uczestnicy tego ruchu czują obecność Ducha Świętego, doznają Jego wszechstronnej pomocy i uzdrowień. Zdarza się też, że doznają objawień nakazujących im odejść od Kościoła, tworzyć sekty i leczyć ludzi przez nakładanie rąk. Jak wielkie jest zapotrzebowanie na przeżycia mistyczne, świadczy wizyta kanadyjskiego misjonarza o. Emiliena Tardifa - na spotkanie z nim do Łodzi przybyło dwieście tysięcy ludzi z różnych stron Polski. Ojciec Tardif głosi „Jezus żyje” i leczy w imię Jego, bo dar ten został nam dany.

Czary i gusła

New Age obudził także wiarę w magię, uaktywnił znachorów, różnych wybawicieli i prymitywną kulturę masową. Księgarnie New Age oferują ciekawe książki, ale i wszelki chlamek. Na przykład z książki „Czarna magia w XX wieku”, napisanej przez niejakiego J. L. Barcelo, a wydanej przez wydawnictwo 4 & F, można się dowiedzieć, że w USA nabyć można: „świece do wytwarzania silnych emanacji duchowych na bazie wosku i parafiny najwyższej jakości, z wyciągów ziół i egzotycznych

życia”, „Przeciw śmierci” i in.). Pisał on: „Jako istota duchowa obdarzona jesteś częścią Nieskończoności Świadomości i Nieprzebranej Mądrości. Jako ta jej część jesteś bez przerwy wzrastającą siłą. Siła ta może tylko zwiększać się, nigdy - maleć. Ona to, z otchłani czasu się dźwigając i wciąż się potęgując, ukształtowała umysł twój i tym, czym jest dziś, uczyniła. Do siły tej każdy z żywotów swoich (Mulford wierzył w reinkarnację, którą uznaje także New Age - WK) nieświadomie dorzuca coś nowego. Każde zmaganie się duchowe - czy to w walce z bólem, nalogiem lub występkiem, czy w dążeniu do jakiejś władzy, umiejętności, kunsztu lub sztuki - zmaganie się z samym sobą, z poczuciem braków wła-

z hipnotycznego snu, w jakim znajdują się wszyscy ludzie i dostrzec, że świat jest o wiele piękniejszy od tego, co dostrzegamy wzrokiem przy mglonym poczuciu winy i biciem się w piersi za grzech mitycznego Adama.

Kościół a New Age

- Na pytania, które stawia New Age, Kościół powinien dać pogłębioną odpowiedź, odwołując się np. do wielkich chrześcijańskich tradycji mistycznych - powiedział o. Jan A. Kłoczowski, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. - Duchowość New Age jest „z tego świata” w tym sensie, że jest duchowością sukcesu. Ten ruch wykorzystuje to, że ludzie nie chcą widzieć życia, jakim

perfum mistycznych; cena 75 centów sztuka”. „Kasetę „Złe Oko” - słuchaj jej, a unikniesz zawiści, podłości i lubieżnych zamierzeń tych osób, które rządzą straszliwym złem siłą swego wzroku; cena 9 dolarów”, czapki medytacyjne, mierniki oświecenia itp. W ruchu tym znalazło się miejsce dla kultu voodoo i czarnych mszy, zaklęć przywołujących diabła i amuletów broniących przed nim.

A wszystko to ma związek z końcem tysiąclecia. Niby data taka jak inne, ale okrągła, z trzema zerami i to nas niesłychanie ekscytuje. Człowiek jest zapewne ważną częścią wszechświata, ale chyba jednak nie tą najładniejszą.

Wiesława Kwiatkowska

Czy Skarb Państwa odzyska 10 miliardów dolarów?

Nasz kawatek Teksasu

- Naszym
spadkiem
można
wygrać dla
kraju kwotę,
która daleko
przekracza
dług Polski
wobec USA -
twierdzi Jerzy
Kossakowski
- Dębicki.



Rys. Bartłomiej Brosz

W 1836 roku w bitwie z Meksykanami o wolność Teksasu zginął Polak — major Ludwik Napoleon Dębicki. Za ofiarą służbę i daninę krwi władze stanu Teksas zapisały rodzinie majora 16,3 km kw. ziemi. Wtedy był to kawał dzikiej, pustej przestrzeni. Dziś — zasobne w ropę naftową tereny, na których urzędują największe światowe koncerny: Evvons Oil, Shell i State Oil. Zawartość szacowana jest nawet na 10 miliardów dolarów. Spadek nie uległ przedawnieniu - od 160 lat czeka i kusi.

Ludwik Napoleon Dębicki zostawił w Polsce dwóch braci, dwie siostry i rodziców. Informacja o spadku nie dociera do kraju za ich życia. Egzekutor masy spadkowej, Jakub Kaufmann, próbuje zagarnąć teksańską ziemię, podstawiając fałszywych rodziców majora. Oszustwo ujawniono.

Prawdziwi i rzekomi potomkowie Ludwika Napoleona próbowali i próbują odtąd dowieść swoich praw do wakującej fortuny. Kandydaci łączą się w klany, wynajmują adwokatów, żyją nadzieją bogactwa, umierają w niespełnieniu. Następne pokolenia podejmują sprawę na nowo.

Niektórzy z Dębickich uważają dziś, że działając indywidualnie albo w małych grupach nie mają szans na odzyskanie ziemi. Twierdzą tak m.in. Wilhelm Dębicki z Krakowa i Jerzy Kossakowski-Dębicki z Kielc.

Spadek mityczny?

Wilhelm Dębicki z Krakowa, emerytowany docent Akademii Ekonomicznej, b. dyrektor Instytutu Finansów, b. dziekan Wydziału

Ekonomiki Produkcji, chce sprawę rozstrzygnąć w interesie kraju. Nie pragnie pieniędzy dla siebie.

Jego związki ze sprawą wyglądają tak: o spadku teksańskim dowiedział się, gdy miał 10 lat. Ojciec Kazimierz podjął wtedy starania o dołączenie stanisławowskiej gałęzi do rodu grupy spadkobierców Ludwika Napoleona. Wilhelma wybrano później rzecznikiem stanisławowskich Dębickich. Szukał dokumentów, pisał do MSZ. W końcu zrozumiał, że działając indywidualnie nie ma szans na odzyskanie spadku. Zyskał tylko w Stanisławowie sławę potencjalnego miliardera i czołobitność licznych kupców, którzy oferowali mu swoje towary („a ja byłem goły jak święty turecki...”).

Przestał się interesować spadkiem aż do 1989 r. kiedy ogłosił w „Gazecie Krakowskiej” artykuł. Postulował, żeby Polska rozpoczęła starania o pożyczkę pod zastaw spadku. Apelowal, aby pomysł omówić podczas wizyty Busha w Polsce. Nie skończystano.

Kilka lat później Wilhelm Dębicki skonstruował plan działania. Uznał, że należy sprawie nadać charakter polityczny. Pretendenci do spadku powinni się zrzec swoich praw na rzecz Skarbu Państwa polskiego, który stałby się jedynym „podmiotem roszczeniowym”. Drugi krok: Skarb Państwa sprzedaje prawa do spadku rządowi USA. Następnie w Polsce zostaje stworzona fundacja, która załatwia roszczenia Dębickich. Fundacja powinna działać na zasadach podobnych do polsko-niemieckiego „Pojednania”.

Przez ostatnie 2 lata pan Wilhelm starał się zainteresować swoim pomysłem polskie władze. Pisał do prezydenta Wałęsy;

odesłano go do MSZ; odpowiedź: „sprawa należy do spadków mitycznych”.

Rządy, łączcie się!

Napisał wreszcie do Zbigniewa Brzezińskiego. Nieoczekiwanie - otrzymał odpowiedź.

Profesor Brzeziński pisze, że kwestia spadku teksańskiego jest „nadzwyczaj skomplikowana”. Notuje, że na drodze prawnej będzie ciężko ją wygrać, ze względu na wielkie koszty i skromne szanse powodzenia. Dalej jednak zaznacza: „Pozytywne rozwiązanie mogłoby być przeprowadzone tylko wtedy, gdyby nadano sprawie dostateczny rozgłos. A to może wymagać jakiejś inicjatywy zarówno ze strony Polsko-Amerykańskiego Kongresu jak i polsko-amerykańskiej prasy. Przychodzi mi na myśl na przykład „Nowy Dziennik” z Nowego Jorku i pan Bolesław Wierzbiański... który mógłby spowodować nagłośnienie tej sprawy”...

Życzliwy ton listu spowodował, że Wilhelm Dębicki jeszcze mocniej uwierzył w szczęśliwe zakończenie spadkowej historii. Zgodnie z sugestią profesora Brzezińskiego wysłał list do Bolesława Wierzbiańskiego. Opisał m.in. pomysł rozmów na szczeblu rządowym oraz wyraził nadzieję, że władze USA, dbając o „moralny image” zechcą przyczynić się do załatwienia sprawy, która „rzuci cień na rząd USA i podaje w wątpliwość jego rzetelność w wywiązywaniu się ze zobowiązań w stosunkach międzynarodowych”.

„Jestem już 82-letnim starcem i nie sędzę, żebym doczekał rozwiązania tzw. problemu spadku teksańskiego, ale chciałbym

dożyć chwili, gdy sprawy tego spadku wezmą w swoje ręce rządy obu naszych państw, tj. USA i Polski. Będę wtedy wiedział, że spadkobiercy Ludwika Napoleona Dębickiego i innych bohaterów wojny o niepodległość Teksasu nie zostaną pozostawieni samym sobie i że ich sprawy są wpisane w państwowy rejestr spraw do załatwienia...”

Niestety, odpowiedź na list nie nadeszła. Wilhelm Dębicki nie poddaje się. Chce nagłośnić sprawę w polskich mediach. Dlatego zaprosił mnie. Siedzimy nad stertą dokumentów, przeglądamy dzieje spadku.

- To byłaby najtańsza inwestycja w historii Polski. Wystarczy tylko ruszyć głową - przekonuje pan Wilhelm.

Zacieranie śladów

Podobnie myśli Jerzy Kossakowski-Dębicki z Kielc, potomek magnackiej rodziny Kossakowskich. Jest ekspertem ONZ do spraw budownictwa hydrotechnicznego. Tradycje interesowania się spadkiem przejął po ojcu. Pamięta, że w 1957 roku jego gałąź rodziny zorganizowała swój zjazd. Zbierano na wadium sądowe. Potrzeba było 100 tys. dolarów. Zgromadzono tylko 15 tysięcy.

Rodzina Jerzego odnalazła ślady pokrewieństwa z Ludwikiem Napoleonem w Więzownicy (woj. tarnobrzeskie). Kuzyn Jerzego — Andrzej Raczyński - wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie gromadził dokumenty. O postępach informował rodzinę. Kilka lat temu przysłał list. Donosił, że sprawa jest bliska finalizacji. Niedługo potem zmarł - „w dziwnych okolicznościach” (Jerzy nie chce podać jakie to okoliczności).

Jerzy Kossakowski-Dębicki informuje o kolejnej „zagadce” w historii starań o spadek. W księdze parafialnej w Więzownicy barkuje kart z lat 1805-1806. Właśnie wtedy, przypuszcza Jerzy, urodził się Ludwik Leon Dębicki.

- Nie chcę sugerować, ale gdy w grę wchodzi wielkie pieniądze, to nikt się nie patyczkuje - mówi.

Dwa lata temu Jerzy Kossakowski-Dębicki wybrał się osobiście do USA. Szukał śladów dokumentów po kuzynie - nie znalazł nic. Rozglądał się także po swoich potencjalnych posiadłościach w Teksasie. Wrócił zadowolony ze zwiedzania Stanów. Natomiast w sprawie spadkowej - kłapa.

- Żaden kraj nie odda pojedynczemu człowiekowi, ani nawet grupie ludzi pieniędzy, które mogłyby zachwiać budżetem państwa - opowiada.

- Może mógłbym to załatwić, ale tylko wtedy, gdybym ożenił syna z córką jakiegoś potężnego mafiosa i zrzekł się praw do 50 procent w zamian za odzyskanie spadku - śmieje się.

Jerzy jest obecnie przekonany, że problem spadku może załatwić jedynie rząd Polski. Słyszał o pomysły pana Wilhelma i całym sercem go popiera. Deklaruje, że w każdej chwili może zrzec się swoich roszczeń na rzecz Skarbu Państwa. Apeluje do innych Dębickich, żeby uczynili to samo.

- Można przecież wygrać dla naszego kraju kwotę, która daleko przekracza dług Polski wobec USA. O to trzeba jednak zaważać. Oni przecież nie przyjdą i nie powie- dzą: wy jesteście nam dłużni, ale za naszą rzecz jeszcze dopła- wasz rodak, więc my am-...

Miliardy dla kraju?

Panowie Wilhelm i Jerzy mają podstawy, żeby liczyć przynajmniej na podjęcie przez władze starań. Są precedensy: rządy zajmowały się już tą sprawą. Jeszcze w 1894 r. rosyjski konsul w USA Tiplow rozmyślał o przejęciu spadku przez cara (oczywiście w imieniu poddanych Dębickich). W międzywojniu spadkiem interesował się MSZ. Wiadomo też, że po 1945 r. adwokat Ryńca miał jakieś upoważnienia rządowe. Rozmowy z władzami Teksasu i tamtejszymi prawnikami prowadzili także konsulowie i ambasadorzy polscy w USA. Jeszcze w latach siedem- dziesiątych konsul Polski w Waszyngtonie, Jan Witek, in- formował jednego z Dębickich, że „konsul interesuje się sprawą od dłuższego czasu”.

Precedensy podejmowania działań na wyższym szcze- bli więc istnieją. Tylko czy spadek naprawdę można ode- brać? Może jest on „mityczny”, jak twierdzili kilka lat te- mu urzędnicy MSZ?

Otóż sprawa istnieje. Wedle praw Teksasu nie można spadku przedawniać, gdyż ziemie pochodzą z dyspozycji stanu, a nie z prywatnego nadania. W ręce Wilhelma Dębickiego trafiło świeże opracowanie amerykańskiego ad- wokata, który na zlecenie któregoś z potomków Ludwika Napoleona napisał, że praw do spadku ciągle można do- chodzić.

- Choćby ta sprawa była nie wiem jak trudna, to trzeba ją w końcu rozstrzygnąć: albo pozytywnie, albo negatyw- nie. Przecież chodzi o grube miliardy - apeluje Wilhelm Dębicki.

- Wiem, że sami Dębicki nie mają szans, ale domagam się od rządu, żeby się tym zajął. Po naszej stronie jest racja historyczna. Jest też szansa na poprawę sytuacji finanso- wej całego kraju - mówi.

Jerzy Kossakowski-Dębicki zamarzył o zorganizowaniu zjazdu zjednoczeniowego w Górach Świętokrzyskich. Chciał namówić wszystkich do rezygnacji z praw spadkowych na rzecz Skarbu Państwa. Dał ogłoszenie w prasie. Odezwało się 40 Dębickich. Zarezerwował miejsca w pensjonacie. Koszt 500 tys. starych złotych. Niestety, ty- noclegu był niewielki - 500 tys. starych złotych. Potencjalni ko trzy osoby wpłaciły tę kwotę. Zjazd odwołało. Potencjalni miliardrzy są bogaci tylko w marzenia.

Paweł Misior



Na elewacji południowej ratusza odkryto znakomicie zachowane malowidło średniowieczne, przedstawiające gryfa.

Fot. Robert Kwiatek

Ratusz Głównego Miasta w pełnej krasie

Barwy na ceglach

Zgodnie z przekazami historycznymi, Ratusz Główny. Od czasu odbudowy po zniszcze- wany gruntownej renowacji. która on taką generalną odnowę. Sensacją ostatnich tygodni nian wojennych na elewacjach dużych fragmentów gotyckich i renesansowych polichromii.

Od prawie pięciu lat Mu- zeum Historii Miasta Gdańska restauruje Ratusz Główny. Każdy sezon konserwatorski przynosi coś nowego. Obecnie dobiega końca pierwsza faza konserwacji elewacji wschod- niej i południowej. Sensacją stało się odkrycie na nich du- żych fragmentów gotyckich i renesansowych polichromii.

- Restaurację ratusza zaczę- liśmy w 1992 roku od opraco- wania programu ratowania za- grożonej, gotyckiej wieży - mówi Małgorzata Marczak, za- stępca dyrektora MHMG. - Po latach, jakie minęły od podję- cia badań i renowacji, okazało się, że mieliśmy rację, wybie- rając nowatorską wówczas tech- nologię konserwacji. Polegała ona na zachowaniu oryginal- nej zabytkowej substancji wie- ży i rezygnacji z przemuro- wań, czyli wymiany na nowe całych fragmentów ceglanych elewacji. Zaaprobowali to naj- lepsi polscy specjaliści.

Restauracja całego ratusza uznawana jest za najważniejsze przedsięwzięcie konserwator- skie w kraju. W przypadku wie- ży, najważniejszym proble- mem była właściwa renowacja ceglanych elewacji. Natomiast, gdy chodzi o korpus budowli, najistotniejsza stała się konser- wacja renesansowych polichro- mii. O ich istnieniu wiedzieli- śmy dzięki przekazom ikono- graficznym oraz śladach ma- lunków na wieży i budynku. Potwierdziły to badania wstęp- ne. Nie wiadomo było jednak:

nic bliższego o ich stanie i o wielkości powierzchni za- chowanych fragmentów. Wła- szcza, że pokrywała je gruba warstwa brudu.

Renesans na gotyku

W 1995 roku wykonano in- wentaryzację relikwów poli- chromii. Analiza materiałów wykazała, że zachowały się nie ślady, ale duże fragmenty rene- sansowych malowideł. Pozwa- lało to na hipotetyczne odtwo- rzenie ich oryginalnego wyglą- du poprzez zestawienie szcze- łowych pozostałości powtarza- jących się ornamentów. Do- wiedziano się też, iż w różnych okresach historycznych wszystkie elewacje ratusza, łącznie z murami dziedzińca wewnętrznego, były malowane na czerwono, a fugi - na białe albo na czerwono, z ozdobny- mi ornamentacjami. Zdarzało się, że malowane fugi nie od- powiadały tym rzeczywistym, będącym spoinami pomiędzy ceglami.

Problemem pozostaje do- kładne datowanie kolejnych warstw polichromii. Do na- szych czasów dotrwało bardzo mało materiałów porównaw- czych i ikonograficznych, ob- razujących wygląd ratusza w dawnych wiekach. Najlep- szym wizerunkiem budowli jest obraz „Grosz czynszowy” Mellera z 1601 roku, znajdują- cy się w zbiorach muzeum. Stosując metody dużych po- większeń i analiz komputer- wych można zobaczyć na nim precyzyjnie namalowane poli-

chromie, szczególnie na fasa- dzie wschodniej.

Na początku tego roku mu- zeum przeprowadziło przetarg na prace konserwatorskie, ma- jące odsłonić i zabezpieczyć pozostałości polichromii. Naj- korzystniejszą była oferta fir- my Piotra Białko, która zob- wiązała się zakończyć prace w tym roku. Fasady mają być gotowe na millenium miasta.

- Obawialiśmy się, że do najtrudniejszych zadań będzie należało odtworzenie barw re- nesansowych polichromii - mówi dyrektor M. Marczakowa. - Biel ołowiowa, którą nie- gdyś stosowano do wyrobu farb, zczerniała. Na szczęście, pod warstwami brudu prze- trwały duże powierzchnie bia- łych malowideł w oryginalnym odcieniu. Umożliwia nam to w przyszłości podjęcie rekon- strukcji unikatowych polichro- mii gotyckich i renesanso- wych, w miejscach, w których przetrwały. Natomiast nie bę- dziemy odtwarzać malowideł, po których nie zachowały się żadne ślady, chociaż wiemy, że kiedyś istniały.

Fasady budowli gotyckich malowano, aby upodobnić je do kamieniczek i innych obiek- tów wzniesionych w stylu re- nesansowym. Elewacje ratusza zmieniono, wstawiając więk- sze, renesansowe okna z ka- miennymi obramowaniami; za- murując blendy (płytkie wnęki w murach ceglanych w kształcie okien) i pokrywając ceglane mury polichromią. Nawiązywała ona formą i bar-

wami do wyglądu zdobień po- bliskiego Domu Schumanów czy Zielonej Bramy, zamykają- cej od wschodu Długi Targ.

Uwolniony gryf

W okresie, gdy zmieniano wystrój elewacji z gotyckich na renesansowe, przecięto gzymsy i zamurowano blendy odcinkowe. Konserwatorzy wykonali sondażową odkrywkę ostatniej z nich, znajdującej się na elewacji południowej od strony zachodniej. Wynik był sensacyjny. Odkryto znakomi- cie zachowane malowidło śred- niowieczne, przedstawiające gryfa.

- Nie spodziewaliśmy się, że gotyckie malowidło będzie tak znakomicie zachowane - doda- je dyrektor M. Marczakowa. - Jesteśmy przekonani, że pod wszystkimi z zamurowanych blend zachowały się podobne.

W tej chwili kończymy etap konserwacji zachowawczej fas- sad południowej i wschodniej. Odsłonięto i zabezpieczono fragmenty malarstwa iluzjoni- stycznego, które oglądali mies- kańcy Gdańska w okresie XVI- XVII wieku. Jednakże to nie koniec prac, związanych z od- twarzaniem wyglądu ratusza. Planujemy restaurację elewacji niewielkiego, gotyckiego dzie- dzińca wewnętrznego. Posiada on piękny układ cegieł i dosko- nałą akustykę. Po konserwacji, która zacznie się po roku mile- ninijnym, będzie udostępniony mieszkańcom Trójmiasta i tury- stom. Następnymi elementami ratusza, przewidzianymi do re- stauracji i odtworzenia są hełm wieży oraz carillon - zespół grających dzwonów.

Jacek Siemski

Rusz się!

Kaszubskim szlakiem
do Chmielna

Wycieczkę rozpoczynamy w Kartuzach, gdzie także jest wiele miejsc godnych obejrzenia.

Fot. Tadeusz Gruchalla

Jeszcze raz wybieramy się na wędrowkę czerwonym szlakiem - tym razem z Kartuz do Chmielna. Trasa wycieczki o długości ok. 10 km prowadzi terenem zalesionym, mocno pofalowanym, z rezerwatami przyrody, jeziorami i wspaniałym punktem widokowym na Górze Tamowej koło Chmielna.

Z dworca w Kartuzach docieramy ze znakami niebieskimi do poklasztornej kościoła Kartuzów. Tam spotykamy znaki szlaku czerwonego. Zanim jednak ruszymy na trasę, zachęcam do zwiedzenia bogato wyposażonej świątyni. Piękne ołtarze, stalle, malowidła i kurdybany są dużą atrakcją dla krajoznawców i miłośników sztuki sakralnej.

Po wyjściu z kościoła, przekraczamy szosę wiodącą do Sierakowic i wspólnie ze znakami niebieskimi oddalamy się od miasta. Początkowo idziemy ulicą Chmielenską wśród osiedla domów jednorodzinnych mijając z prawej niewielkie jezioro Mielenko.

Z lewej strony widoczne jest duże Jezioro Karczemne i panorama Kartuz po jego drugiej stronie. W lesie rozstajemy się na krótko ze szlakiem niebieskim, aby przy szosie Kartuz-Bytów spotkać go ponownie. Po przekroczeniu szosy na brzegu Jeziora Cichego, rozstajemy się ze szlakiem niebieskim definitywnie. Idąc teraz za znakami czerwonymi, okrążamy jezioro i wśród gęstych drzew, krętymi ścieżkami, docieramy na szczyt góry zamkowej - 9 hektarów rezerwatu z okazałymi 200-letnimi bukami. Ponadto na tym samym wzniesieniu znajduje się wczesnośredniowieczne grodzisko. Z Zamkowej Góry schodzimy ponownie do szosy bytowskiej i wzdłuż niej, w lewo, idziemy aż do przystanku PKS. Tu przekraczamy szosę i drogą wiodącą w górę idziemy w kierunku wsi Kosy, odległej o niecały kilometr. Kosy opuszczamy połą drogą w kierunku zachodnim. Niebawem wchodzimy do lasu i szeroką, wygodną drogą podążamy do Chmielna. Szlak po 3 km wyprowadza nas na Górę

Tamową o wys. 224 m n.p.m. Kępka drzew na szczycie góry nie przysłania wspaniałego widoku na leżące u jej stóp jeziora: Kłodno, Białe i Rekowo, a także na panoramę Chmielna.

Nasytzeni pięknymi widokami, schodzimy stromą ścieżką w dół do przesmyku między jeziorami Kłodno i Rekowo. Dalej, wśród osródków wczasowych, asfaltową drogą dochodzimy do mostku nad strużką łączącą jeziora Kłodno i Białe. Tuż za nim po prawej stronie następuje grodzisko i brzegiem jeziora dochodzimy do Chmielna.

Ta duża wieś letniskowa jest metą naszej wędrowki, ale zanim wsiądziemy do autobusu, wypada odwiedzić garncarską firmę Neclów - słynną swoją ceramiką daleko poza Kaszubami. Należy odwiedzić również tutejszą restaurację z regionalnymi potrawami i miłym wystrojem wnętrza.

No i teraz - po dniu pełnym wrażeń - możemy wracać do domu.

Stanisław Strojny

Jak dojechać?

Pociąg z Gdyni Głównej odchodzi o godz. 10 i przyjeżdża do Somonina o 11.04. W Somoninie przesiadka do Kartuz o godz. 11.08, w Kartuzach o 11.20. Powrót z Chmielna autobusem PKS do Kartuz i dalej do Trójmiasta lub bezpośrednio do Gdańska.

Szlakiem leśnym
i górskim

Na wycieczkę należy założyć wygodne ubranie i odpowiednie buty do górskiej wędrowki.

Fot. Karolina Krajewska

Wybermy się dziś do Bażantarni na wycieczkę szlakiem leśnym i górskim. Oba szlaki oznaczono kolorem niebieskim.

Dojeżdżamy do Bażantarni tramwajem nr 2. Wsiadamy na końcowym przystanku. Dochodzimy do restauracji „Myśliwska”. Przy drogowym skrzyżowaniu skręcamy w lewo, zaczynając od szlaku leśnego. Mijamy niewielką polanę na której znajduje się forma przestrzenna ze stali. Wkrótce potem następuje rozwidlenie dróg. Prosto widać szlak niebieski, w lewo szlak zielony. My idziemy prosto. Przechodzimy obok działek, dochodząc do wiaty. Ustawiono tam ławki, jest miejsce na ognisko.

Dróżka łagodnie pnie się w górę. Znowu skrzyżowanie szlaków: żółtego i niebieskiego. Na krótkim odcinku żółty i niebieski nakładają się na siebie. Wkrótce gubimy jednak szlak żółty, który umyka nam w prawo, a my maszerujemy prosto. Rośnie tu las bukowy. Stare, grube drzewa. Dalej kosodrzewina wysoka. Droga jest tu gliniasta, z koleinami.

Dochodzimy do wiaty i skrzyżowania szlaków czerwonego z niebieskim. Skręcamy w prawo, wchodzimy do lasu. Tutaj niebieski szlak pokrywa się z czerwonym.

Wkrótce dochodzimy do szczytu Góry Jagiellońskiej. Wokół nas krzaki, w dole głęboki jar. Zbliżamy się do Srebrnego Potoku. Przez chwilę idziemy nad jego brzegiem.

Znowu skrzyżowanie szlaków. Zielony prowadzi w prawo. A gdzie niebieski? Gdzieś nam się zapodział? Rozglądamy się uważnie, sięgamy do mapy. Jest! Niebieski skręca w lewo i prowadzi przez potok, który trzeba... przeskoczyć. Teraz pod górę. Szlak zielony i niebieski znów biegną razem.

Dochodzimy do Parasola, który w niczym parasola nie przypomina. Jest to po prostu zwykły, stary pień drzewa, a na nim tabliczka. Jak wyglądał niegdyś, jeszcze w latach osiemdziesiątych, można obejrzeć na starych fotografiach.

Rozwidlenie szlaków. Zielony prowadzi w lewo, niebieski - w prawo. Wspinamy się na szczyt góry Kazalnicy. Następnie zdobywamy szczyt Góry Ludowej. Po prawej stronie rozciąga się widok na piękny jar. Szlak wiedzie nad samym zboczem. W tym miejscu również trzeba uważać, żeby się nie zgubić, bowiem szlak niespodziewanie skręca w dół jaru. Schodzimy po stromiznie. Przeskakujemy przez potok i znowu w górę.

Potem w dół do kolejnego jaru, po zboczu, forsując zwalone kłody drzew. Przestaliśmy liczyć ile to już minęliśmy jarów. Zachwycamy się pięknem dzikiego krajobrazu.

Szlak w wielu miejscach jest słabo oznakowany. Trzeba często uważnie się rozglądać, żeby znaleźć wskazówkę do dalszego marszu. Jeden z tych jarów, który forsowaliśmy, nazywa się Czarcim Jarem. Tuż za nim wznosi się Góra Sowia, dalej Świątynia Dumania. Schodzimy w dół. Szlak niebieski znowu krzyżuje się z żółtym.

Jesteśmy nad Srebrnym Potokiem. Przed nami dwa drewniane mostki. Szlak niebieski prowadzi w lewo, przez mniejszy mostek. Idziemy leśną drogą, potem skręcamy w drogę przypominającą rów. Kiedyś było to zapewne koryto rzeki. Nad głowami poprzewracane drzewa w poprzek rowu.

Mijamy Wzgórze 13 Sosen. Przechodzimy przez kolejny mostek. Mijamy wiatę i Wzgórze Marii. Dochodzimy do leśniczówki. Jesteśmy u kresu naszej wycieczki. Marsz przez leśne ostępy zajął nam 3 godz. i 10 min. Na wycieczkę radzę założyć wygodne ubranie i odpowiednie buty do górskiej wędrowki.

Karolina Krajewska

Wędruj razem z nami

tograficznym „Gdynia w obiektywie”. Zdjęcia powinny przedstawiać osobliwości przyrody, architektury lub pomniki położone na terenie administracyj-

nym Gdyni. Prace (3 odbitki w formacie 9x13 lub 10x15) odpowiednio opisane (co widnieje na zdjęciu, kiedy zdjęcie zostało zrobione i jakim aparatem fot.)

należy dostarczyć do Oddziału Morskiego PTTK w Gdyni, ul. 3 Maja 27 do 30 września.

• Już teraz zapisać się można na jubileuszowy 25 Rajd po Pojezierzu Kaszubskim organizowany przez Komisję Turystyki Pieszej i Klub Turystów Górskich Oddziału Morskiego

PTTK w Gdyni. Rajd odbędzie się w dniach 28-29 września.

• W niedzielę na wycieczkę zaprasza Klub Turystyczny Wanoga. Szczegółowe informacje można uzyskać w Oddziale Morskim PTTK w Gdyni pod nr. tel. 21-77-51.

(mir)

• W sobotę Nadwiślański Klub Krajoznawczy Trzaski działający przy Muzeum Wisły w Tczewie zaprasza na pieszą wędrowkę krajoznawczą z cyklu „Przyroda i zabytki Kociewia”. Tym razem będzie to spacer w okolicach Tczewa, mający na celu zlokalizowanie daw-

nego cmentarza szwedzkiego. Zbiórka uczestników w Tczewie (Suchostrzygi) przed SP nr 8, na ul. Rutkowskiego, skąd o godz. 10 nastąpi wyjście na spacer.

• Wędrujących po Gdyni z aparatem fotograficznym Oddział Morski PTTK zaprasza do wzięcia udziału w konkursie fo-

Te dwie wypukłości...

Dokładnie nie
wiadomo, kiedy
znaczenie piersi, jako
źródła naturalnego
pokarmu, zeszło na
drugi plan, a
najważniejszą ich
rolą stało się
pobudzanie instynktu
płciowego.

Męska część rodzaju ludzkiego to jedyne ssaki, które zachwycają się biustem damskiej reszty homo sapiens, chociaż składa się jedynie z dwu wypukłości. Takie np. samice tenreków z Madagaskaru mogą pochwalić się aż 12 parami sutek, a znowuż brodawki samicy płetwala błękitnego mają po 240 cm w obwodzie - ale ich partnerów to nie wzrusza.

Jaki powinien być damski biust - to wyłącznie sprawa mody i gustu. Gdy przebadano pod tym względem kilka afrykańskich społeczności, okazało się, że dwa plemiona były za dużymi piersiami, dwa inne - za sterzącymi i półkolistymi, a jeszcze dwa inne - za najpiękniejsze uważały długie i obwisłe.

Biust służy do ozdoby, karmienia oraz do zalotów. Ma też pewien wpływ na wskaźnik inteligencji. Tak przynajmniej twierdzi dr Edwin. O. Strasman z Houston w stanie Teksas: pan ten zbadał 717 bezdzietnych kobiet i doszedł do wniosku, że im większe piersi, tym niższy iloraz.

Ku ozdobie

Aby piersi zdołały damę jak najsukuteczniej - wymyślono dekolty. W kostiumie europejskim pojawił się dekolt w średniowieczu, na przełomie XII i XIII wieku, by w XIV osiągnąć zupełnie spory rozmiar.

Moralisci, których nigdy nie brakowało, szydzili z kobiet, że przemrażają sobie piersi - a nawet łona - dekolty owe sięgały bowiem do paska podtrzymującego biust, a umieszczonego pod suknią. Artyści jednak bez żenady i zgorzienia publicznego malowali piękne Madonny z dzieciątkiem na rękę i obowiązkowo jedną pierś naga.

W epoce renesansu wydekoltowali się również mężczyźni, choć jako żywo biustu nie posiadali, ale też chcieli się pochwalić ładnym ciałem. Potem w kolejnych epokach różnie z modą bywało, ale dekolt przetrwał wszystkie burze, w okresie francuskiego dyktatoriatu osiągając rozmiary wprost niebywałe. Dopiero gdy w roku 1918 damy nagle pokazały nogi aż do kolan, dekolty zniknęły, lecz tylko z przodu, bo przeniosły się na plecy. Ponieważ jednak na plecach nie ma piersi, więc ten temat nas nie interesuje.

Obecne stroje, po fali bezpłciowych workowatych swe-



Fot. Maciej Kostun

GLAZURA
TERAKOTA

MEBLE
ŁAZIENKOWE

SKLEPY FIRMOWE


TOMAR®

ELBLĄG
UL. ARMII KRAJOWEJ 7/8
GDAŃSK
UL. ŁĄKOWA 35/38

trów, stają się na powrót kobiece i podkreślają kształt biustu. A szczególnie modne damy tatuują sobie na piersiach różne bardzo ładne obrazeczki, a nawet, gdy już nie ma miejsca w uszach na kolczyki, wieszają je na brodawkach.

Karmicielki

By w piersiach pojawiło się mleko, przysadka mózgowa musi wyprodukować odpowiednie hormony: prolaktyna pobudza wytwarzanie mleka, a oksytocyna przesuwają je do ujść kanalików mlecznych. Jeszcze tylko potrzeba, by dziecko zaczęło ssać - i mleczarnia rusza, wytwarzając około 1,5 l na dobę.

Ponieważ obecnie wszystko ma swoją cenę, ma ją i mleko kobiece - twierdzi prof. Anthony Smith. Można na tym handlować zbyć mały grosik: pewna Amerykanka sprzedawała w ciągu dwóch okresów karmienia prawie 900 l mleka za 4 tys. USD,

a inna znowu obywatelka tego państwa rekordów jest właścicielką bardzo pożytecznego rekordu: swoim mlekiem potrafiła wykarmić siedmioro dzieci, wytwarzała bowiem około 5 litrów, czyli jedną trzecią produkcji niezłej krowy.

Tyle, że skład mleka ludzkiego różni się od krowiego, zawiera bowiem więcej cukru i mniej białka, oraz wiele niezbędnych składników podnoszących naturalną odporność dziecka.

Do zalotów

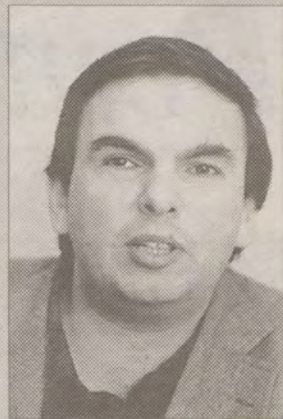
Zygmunt Freud napisał, że „gdyby niemowlę mogło się wypowiedzieć, uznałoby na pewno ssanie matczynej piersi za akt w życiu najważniejszy” - i stwierdzał to z przekonaniem mężczyzny dobrze wiedzącego, co mówi. Dokładnie nie wiadomo, kiedy znaczenie piersi, jako źródła naturalnego pokarmu, zeszło na drugi plan, a najważniejszą ich rolę stało

się pobudzanie instynktu płciowego. Jedno jest pewne: „wiele piersiastych dziewcząt osiągnęło ogromne sukcesy tylko ze względu na talenty gruczołowe” (prof. A. Smith). W każdym razie kobiecie piersi są ważną strefą erogenną.

Ponieważ trudno podniecać się tym, co stale eksponowane, to choć w damskiej modzie wszystkie kombinacje już wyczerpano (zakrywano nogi i odsłaniano plecy, zasłanianie ramiona i odkrywano kolana), proponowana w 1964 r. przez kreatorów moda topless nie przyjęła się - i nie przyjmie. I to wcale nie z powodu pełnej oburzenia fali zgorszonych krytyków. Albowiem - jak pisał dr C. B. Goodhart z Cambridge - „piersi są istotną częścią biologicznego ekwipunku kobiety do zalotów. Decydowanie o tym, w jakim okresie zalotów można ich użyć z najlepszym skutkiem, jest nie tyle sprawą moralności, co taktyki”.

Małgorzata Sokółowska

Auto Salon

Rover
214 Si

Fot. Maciej Kostun

Za kierownicą

Krzysztof
Babicki
reżyser
teatralny

Rover 214 Si: między Punto a Golfem.

P przed dwoma laty środowiska związane z brytyjskim przemysłem motoryzacyjnym poraziła wprost wiadomość, że Rover, ostatnia na Wyspach firma nie związana z międzynarodowymi koncernami, została wykupiona - i to, o zgrozo - przez Niemców z BMW. Nie mniej zaskoczeni i zaskoczeni byli szefowie Hondy, od dłuższego czasu ściśle współpracującej z Roverem.

Modele Rovera z lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych były w praktyce replikami aut japońskich. Końcem współpracy z Japonczykami była nowa seria 400, zunifikowana we wszystkim, poza silnikami i szczegółami stylizacji z Hondą Civic. Pierwszym samodzielnym opracowaniem jest - zaprezentowany wiosną w genewskim Salonie Samochodowym - Rover 200.

To właśnie auto w wersji noszącej oznaczenie 214 Si znajdzie się na polskim rynku w przyszłorocznym kontyngencie bezcłowym. Test Rovera 214 Si umożliwił „Auto Sa-

lonowi” gdański dealer brytyjskiej firmy, Bimet SA.

Rodzinne podobieństwo

między starszymi modelami Rovera a nową „dwusetką” jest widoczne na pierwszy rzut oka. Stylizacja przodu z chromowaną kratką wlotu powietrza i skośnymi reflektorami ułożonymi we wspólnej obudowie z kierunkowskazami wyraźnie nawiązuje do serii 400. Kształt przedniej części auta z silnie pochyloną szybą, masywnym zderzakiem lakierowanym w kolorze nadwozia i szerokimi listwami ochronnymi na bokach jest niemal nie do odróżnienia. Ale krótki, zwarty tył „dwusetki” - to już typowy europejski „hatchback”.

Wprawdzie litraż zastosowanych w nowym aucie silników - od 1400 cm sześć. w górę - sugeruje, że Rover 200 jest samochodem tej samej klasy co VW Golf, Opel Astra, czy Renault Megane, ale stosunkowo niewielki rozstaw osi - 250 cm - oraz długość całkowita zaledwie 397 cm lokują go gdzieś pośrodku między rynkowymi segmentami B i C.

Ze względu na rozmiary wnętrza auto może w pełni usatysfakcjonować kogoś, kto podróżuje co najwyżej z żoną i dwójką małych dzieci. Mimo wyposażenia tylnej kanapy w trzy bezwładnościowe pasy bezpieczeństwa, nie można uznać Rovera 214 Si, zwłaszcza w testowanej przez nas wersji trzydrzwiowej, za auto dla pięciu osób.

Dyskretny, angielski styl

w niewielkim wnętrzu auta reprezentują wstawki z orzechowego drewna przed pasażerem i na panelu sterowania układem ogrzewania i wentylacji. Dobre wrażenie robi też kształt i funkcjonalność tablicy przyrządów, wykonanej z wysokojakościowych tworzyw. Kierownica z air-bagiem, gruba, i elastyczna, dobrze leży w rękach. Ma też regulację wysokości. Welurowa tapicerka z wstawkami w kaszmirowy wzór prezentuje się efektownie, a przednie fotele, choć pozbawione ponadstandardowych regulacji są wygodne i prawidłowo wymodelowane. Pasy bezpieczeństwa z przodu mają napinacze pirotechniczne.

Na tylnej kanapie, jak się rzekło, miejsca jest niewiele, ale i ona okazuje się w miarę komfortowa. Zamykany schowek przed pasażerem, spore kieszenie w drzwiach i po obu stronach kanapy rozwiązują problem przewozu drobnych przedmiotów. Bagażnik ma przeciętną pojemność

Zalety

- + nowoczesna konstrukcja nadwozia, wysoki poziom bezpieczeństwa biernego,
- + odporność na korozję
- + dynamiczny, elastyczny, trwały i w miarę oszczędny silnik
- + bezpieczne podwozie
- + bogate wyposażenie, niezła jakość wykonania
- + dobre zabezpieczenie fabryczne (autoalarm, immobilizer, centralny zamek)

Wady

- mało miejsca na tylnej kanapie
- wysoka cena

300 decymetrów sześć. Można go powiększyć do 1090 dm, składając dzielone oparcie tylnej kanapy.

Stary znajomy

- można by rzec o silniku Rovera 214 Si. To przecież dokładnie ta sama jednostka napędowa, którą znamy z Poloneza 1.4. Opracowany przez brytyjskich konstruktorów silnik jest lekki i sztywny, dzięki specyficznej, warstwowej budowie. Ma dwa wałki rozrządu i po cztery zawory na cylinder oraz układ wielopunktowego, sekwencyjnego wtrysku paliwa. Jego pojemność wynosi 1396 cm sześć., a moc aż 103 KM przy 6000 obr./min.

Zerwanie z japońską tradycją widoczne jest w podwoziu Rovera. Z przodu - zamiast układu dwóch wahaczy poprzecznych, znanego choćby z modelu 400, zastosowano klasyczne zawieszenie typu MacPherson, uzupełnione o stabilizator. Z tyłu nabywcom Rovera 214 Si muszą wystarczyć zwykłe wahacze wleczone z belką skrętną. Wzoru-

jąc się na Citroenie ZX, konstruktorzy Rovera połączyli je z nadwoziem elastycznie, uzyskując efekt samoskrętności, pomocny przy szybkim pokonywaniu zakrętów.

Standardowym wyposażeniem Rovera 214 Si jest wspomaganie kierownicy. Auta dostarczane na polski rynek będą nieestety miały układ hamulcowy bez ABS-u.

Sportowy duch

emanujący z auta ożywia się z chwilą uruchomienia silnika. Drżmiąca w nim setka z górą koni mechanicznych zwało rozpędza auto: strzałka szybkościomierza dociera do liczby „100” już po dziesięciu sekundach. Miły dla ucha pomruk jednostki napędowej, wyraźnie słyszalnej przy mocniejszym dodaniu gazu, jest właściwym akompaniamentem dla pozostałych wrażeń z jazdy. Na łukach prostsze konstrukcyjnie zawieszenie Rovera 214 Si spisuje się wcale nie gorzej niż wyrafinowane podwozie serii 400; niewielka podsterowność auta pozostaje pod kontrolą kierowcy. Przy ostrym hamowaniu podczas jazdy z dużą prędkością bardzo by się przydał ABS: komfort psychiczny kierowcy byłby znacznie większy.

Deklarowana przez producenta prędkość maksymalna 185 km/godz. jest wartością w pełni realną. Podczas próby rozpędzania Rovera 214 Si do maksimum zdarzyło się nam jednak coś dziwnego: powyżej 170 km/godz. w tylnej części auta rozległ się nagle przenikliwy dźwięk przypominający syrenę alarmową. Podejrzenia, że przyczyną są zawirowania powietrza wokół uchylonych okien bocznych nie potwierdziły się. Po ich zamknięciu odgłos pojawił się ponownie i do końca testu nie udało się ustalić, czy jego źródłem była aerodynamika, podwozie, czy ogumienie. Nie ulegała wątpliwości, że mieliśmy do czynienia z cechą „osobniczą”, a nie „gatunkową”.

Kontyngentową cenę Rovera 214 Si w wersji trzydrzwiowej ustalono na równowartość 15 tys. dolarów; auto pięciodrzwiowe będzie o 800 dolarów droższe.

Marek Ponikowski

Zdjęcia: Rover Car



Wszystko na swoim miejscu: wnętrze Rovera 214 Si.

Uważałem sam siebie za antytalent techniczny i dlatego między innymi nigdy nie ciągnęło mnie do samochodów. O prawie jazdy zacząłem myśleć późno, dopiero w latach osiemdziesiątych, gdy nasza rodzina powiększyła się o pewną małą, bardzo absorbującą osobę, którą często trzeba było wozić do babci.

Nie obyło się bez egzaminu poprawkowego, ale w końcu zdobyłem uprawnienia kierowcy. Uprawnienia, ale nie umiejętności. Pamiętam, że w dobry rok po rozpoczęciu samodzielnych jazd zostałem ostro zbesztany przez kierowcę jadącego przede mną autobusu. On mnie dopiero uświadomił, że w aucie są nie tylko reflektory, ale i światła mijania...

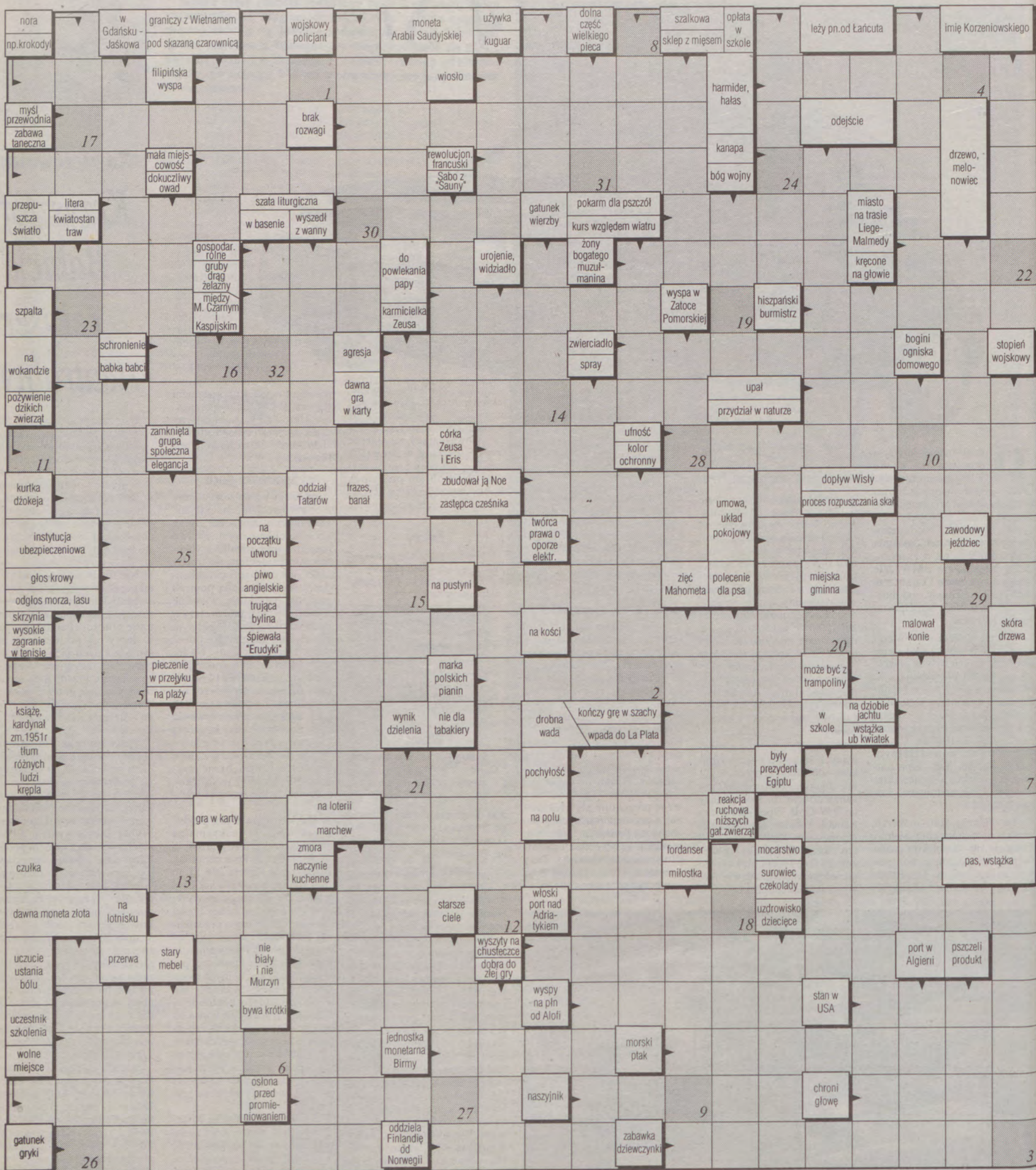
Pierwszym moim autem był mały Fiat. Potem przesiadłem się do Audi 80 kupionego podczas pracy w Niemczech. Były to jeszcze czasy kartek na benzynę, wybrałem więc wersję wysokoprężną. Wybór Diesla wynikał z konieczności, ale z czasem polubiłem takie właśnie samochody, zapewniające spokojną, w miarę oszczędną eksploatację. Reżyserując w różnych miastach, ostatnio np. w Krakowie, jeżdżę bardzo dużo, średnio 30 tysięcy kilometrów rocznie. Również na zagraniczne urlopy z reguły wybieramy się autem. Na szczęście na tyle polubiłem już samochód, że prowadzenie stało się dla mnie nie tylko sposobem przenoszenia się z miejsca na miejsce, ale też relaksem i przyjemnością.

Autem z silnikiem wysokoprężnym pozostałem wierny do dziś. Po Audi miałem Daihatsu Charade, a od trzech lat jeżdżę Renaultem 19. Niedawno zobaczyłem w prasie zdjęcia Renaulta Megane w nowej wersji Classic, z wydłużonym bagażnikiem. To jest samochód dla mnie! Oczywiście jeśli będzie miał silnik Diesla...

(mjp)

Pomyśl!

KRZYŻÓWKA ZA 250

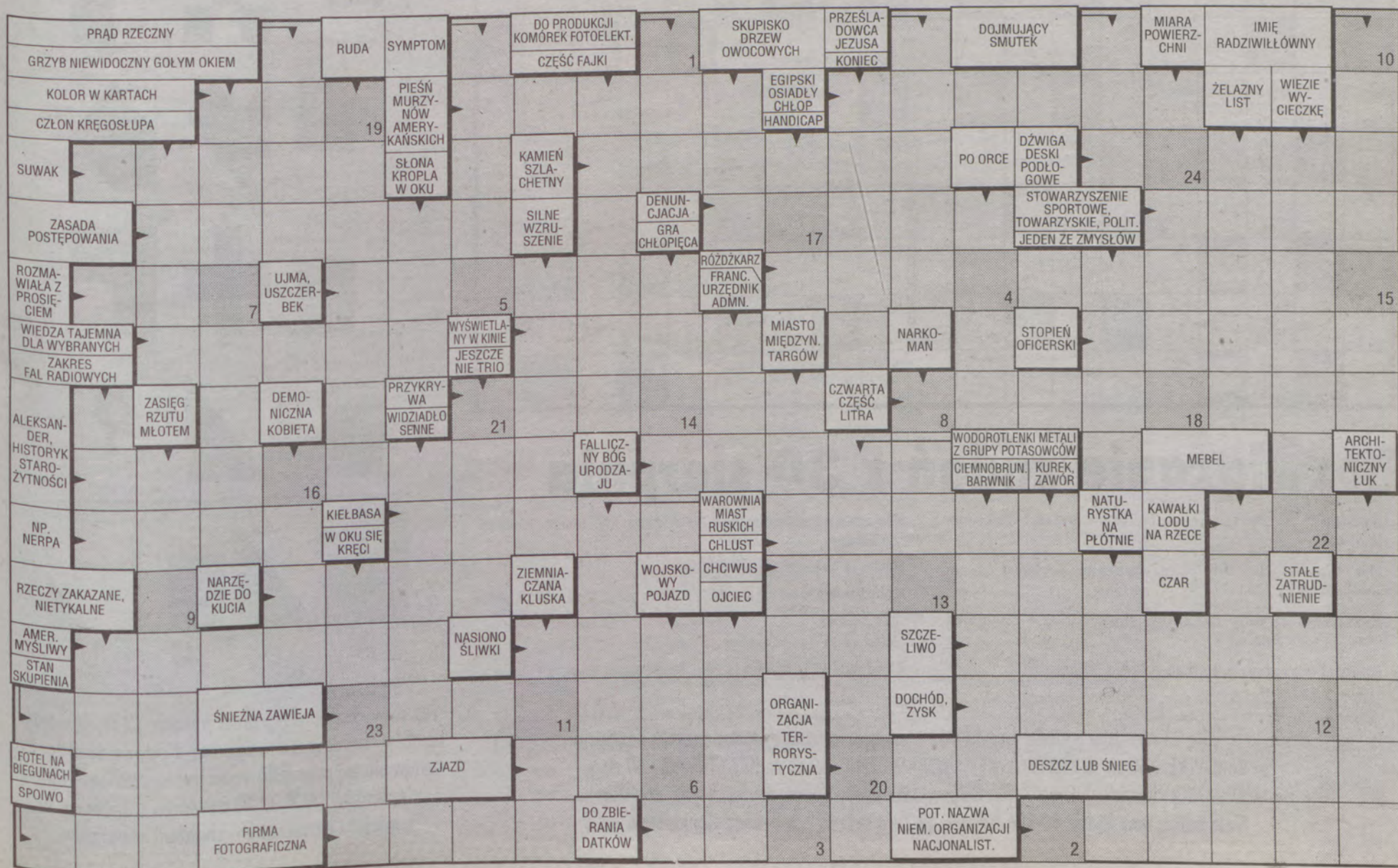


Czytelnicy, którzy uporają się z tą wielką krzyżówką i przysłą do 23 września hasło, utworzone z liter na zaznaczonych polach, mają szansę wylosować nagrodę pieniężną w wysokości 250 zł.



KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA

Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól od 1 do 24

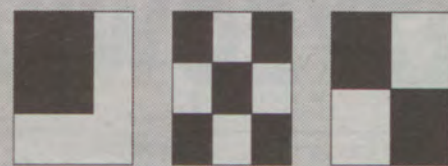


KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 3) naczynie liturgiczne; 11) Grek grany przez Anthony'ego Quinna; 12) kąpielówki; 13) dyscyplina, rygor; 14) państwo z Kalkutą; 15) zwyczaj, nałóg; 16) półprzewodnik; 17) młode kwoki; 21) stok; 25) grupa wysp brytyjskich u wyb. Szkocji; 28) książk. świątynia; 29) pensja bez potrąceń; 30) topian; 31) zaćma jak próg rzeczny; 32) frontowa elewacja budowli; 35) utwór na scenie; 39) rodzaj turystycznego kajaka; 43) posp. weterynarz; 44) obok szarytki i sercanki; 45) wartościowy pokarm; 46) filmowy Ketling; 47) laboratoryjne naczynie szklane; 48) cyrkiel sprężynowy; 51) niby - gwiazda; 55) naukowiec; 58) pełna beczącej welny; 60) małe dziecko; 61) usiłowanie, chęć zdobycia; 62) kraj na antypodach; 63) służący, w stroju węgierskim; 66) Ronald, były prezydent; 70) faszystowskie ugrupowanie polityczne w Hiszpanii; 74) wyspa grecka na Morzu Egejskim; 75) zdjęcie; 76) nurt w modzie; 77) altówka; 78) graniczy z Peru i Argentyną; 79) po zachodzie słońca; 80) bije najlepsze wyniki sportowe; PIONOWO: 1) opłata za mieszkanie; 2) polano, bierwiono; 3) arystokratyczny tytuł używany we Francji; 4) potocznie żyłka; 5) Tamerlan; 6) ogłoszenie o imprezie publicznej; 7) dziwak, oryginał; 8) urzędnik sądowy lub prokuratorski; 9) naczynko na perfumy lub lekarstwo; 10) australijskie miasto; 18) miś z dobranocki; 19) szaflik; 20) krój pisma; 22) kolor; 23) instrument muz. o pustym pudle rezonansowym; 24) wyodrębniony odcinek czasu; 25) kompres; 26) odrobinka; 27) można w nią być pijanym; 32) przewrót w przód; 33) złącze między komórką nerwową i inną komórką; 34) bigoteria; 36) baretka; 37) treść, temat rozmowy; 38) numerowy lub doker; 39) szklany pojemnik; 40) wyro; 41) dostawa; 42) hipotetyczna cząstka hadronu; 49) stagnacja w koniunkturze gospodarczej; 50) porównuje kultury pierwotne; 52) obraz na ekranie telewizora; 53) wapniak; 54) nieproszony gość w jabłku; 55) targ; 56) sklepka; 57) brak dźwięku; 59) główna tętnica; 63) wielki liryk rzymski; 64) minerał z grupy piroksentów; 65) historyczna prowincja Irlandii; 67) przesadna uczuciowość wypowiedzi; 68) instrument Carlosa Santany; 69) opiekunka dziecka; 70) malowidło na ścianie; 71) przywódca partii politycznej; 72) pokarm roślin; 73) prasowe ogłoszenie.

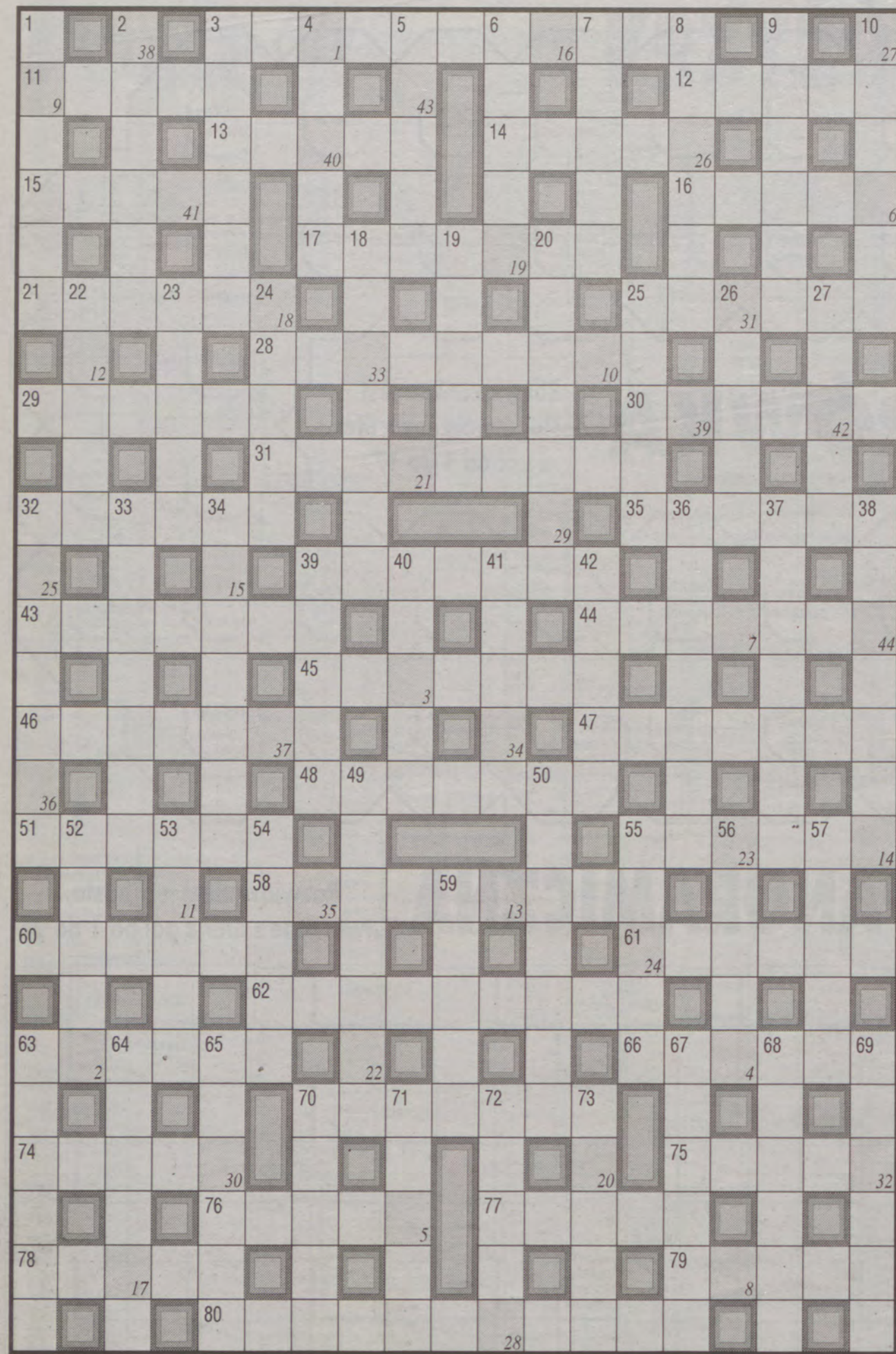
Rozwiązaniem jest aforyzm,
utworzony z liter z pól od 1 do 44

UKŁADANKA



A B C D

Na powyższym diagramie poszczególne elementy zostały rozmieszczone zgodnie z pewną zasadą. Po ustaleniu tej prawidłowości łatwo ustalisz, który z elementów (A, B, C, D) powinien znaleźć się w miejscu oznaczonym znakiem zapytania.



Rozwiązanie zadań z 30 sierpnia

Krzyżówka za 250 zł - nagrodę otrzymuje Stefan Wiczorek z Gdańska.

Hasło: „Człowiek jest z żelaza, dlatego nie odczuwa czasem kajdan jako obcego ciała”.

Krzyżówka zwykła - 50 zł otrzymuje Elżbieta Nawrocka z Gronowa 3 poczta Gnień.

Hasło: „Poświęcenie jest ofiarą dobrego dla lepszego”.

Krzyżówka Panoramiczna - 50 zł otrzymuje Joanna Kononowicz z Elbląga.

Hasło: „I wahadło idzie z czasem”.

Krzyżówka wirówka - 50 zł otrzymuje Ryszard Bracha z Gdańska.

Hasło: „Kto się spieszy, potyka się”.

Za łamigłówkę - kosmetyki otrzymuje Anna Rącka z Gdańska.

Na Czytelników, którzy do 23 września nadeślą prawidłowe rozwiązania naszych zadań czekają następujące nagrody:

za WIRÓWKĘ - 50 zł; za KRZYŻÓWKĘ PANORAMICZNĄ - 50 zł; za KRZYŻÓWKĘ - 50 zł;
za UKŁADANKĘ - komplet kosmetyków. Odpowiedzi należy opatrzyć właściwymi dopiskami.

Nasz adres: Dom Prasy, 80-886 Gdańsk, ul. Targ Drzewny 3/7, Biuro Konkursów.



16

września
otworzymy
drzwi
do nowej
ery